# DZIŚ I JUTRO

MIESIĘCZNIK DLA MŁODZIEŻY

MAJ-CZERWIEC

ROK XII - 1936 -



# OD REDAKCJI.

Od wakacyj przenosimy Redakcję pisma do Warszawy. Łowicka 31. Administracja będzie w Pokrzywnie pod Poznaniem pocz. Krzesiny.

Ponieważ w łączności z przeniesieniem Redakcji mamy różne techniczne trudności do pokonania, łączymy obecnie Nr. majowy z czerwcowym i żegnamy naszych Czytelników aż do września, życząc im wesołego spędzenia feryj wakacyjnych i zasłużonego wypoczynku.

Za wszelkie zwłoki administracyjne w ostatnim okresie przepraszamy, od września regularnie wszystko postaramy się załatwiać.

**P. Wiesław P. w Warszawie.** Poprzednie wyjaśnienia od Redakcji prosimy przyjąć do wiadomości i nie zrażać się do dalszej współpracy z nami. — Idealiści mają zwykle zapas wytrwałości, podniecany trudnościami!

**Alis.** Egzemplarze autorskie wysyłamy gratisowo. — Wiersz »Wiosna« ma już wiele motywów nowoczesnych, ale jeszcze pewne braki formy, które już wkrótce talentem będą opanowane.

Listy jaknajchętniej czytuje Redaktorka i prosi o nie nadal. — Wcale się niemi nie nudzi.

**»Podhalanka«.** Śliczny opis zawodów i miłe fotografje przechowamy skrzętnie do zimowych miesięcy, bo naprawdę zdjęcia ze śniegiem w okresie upałów groteskowoby wyglądały. Proszę być dalej Sobą — i tylko Sobą — a to co naturalny temperament przynosi ujemnego, okiełzać i wprowadzić w pewne niezbędne obramowanie. Potok górski ujęty w brzegi nie czyni spustoszenia — przeciwnie, bywa źródłem twórczej energji. Przykładem Dunajec pod Rożnowem... Lipcowy zlot narciarski w Danji proszę nam opisać, we wrześniu wydrukujemy.

**Dla autorki »Na trasie«** słowa największego uznania! Czas mistrzowski! Niech żyje p. Ata!... podpisana: »Podhalanka«.

**M. L.** Żal nam, że nasza dzielna autorka tak długo chorowała. — Artykuł o zwyczajach wielkanocnych był spóźniony. — Liczymy na dalszą współpracę, bo pióro dzisiejsze i pełne werwy.

# NADESŁANO DO REDAKCJI.

**Wydawnictwo św. Wojciecha — Poznań.**

**Morcinek** — Byli dwaj bracia (zł. 2.50).
,, Serce ze tamą (zł. 2.50).
**Z. Kossak Szczucka** Z miłości (zł. 2.50).
**Stypianka** — Sztuka uprzejmości (zł. 1.20).
**Bazin** — Wśród odmętu (zł. 4).
**Apostoł młodzieży** — (ś. p. X. Schwejnic) (zł. 2.50).
**X. Bp. Radoński** — Dni triumfu Euch. (zł. 2.20).
**Jeleńska** — Tajemnica Mszy św. (zł. 0.70)

**Wydawnictwo »Ostoja« — Poznań, Pocztowa 15.**

**Ks. Bp. Adamski** — Akcja Katolicka Młodzieży.
**F. Żukowska** — Ewangelja w pracy Społecznej.

**Wydawnictwa Salezjańskie — Warszawa.**

**M. Rostańska** — Przeznaczenie.
**J. Spillmann** — Dwaj chłopcy okrętowi.
**A. Huonder T. J.** — Zemsta Marcedysty.

Autorów i Wydawców najmocniej przepraszamy, że szczegółowej oceny książek ich nie podajemy — wynika to z wyżej podanych powodów przenoszenia Redakcji — nieomieszkamy we wrześniowym N-rze zapoznać bliżej czytelników naszych z temi cennemi wydawnictwami.

DZIŚ I JUTRO
PISMO DLA MŁODZIEŻY.
Rok XII. KRAKÓW Maj-Czerwiec 1936. Nr. 9 i 10.

# W osiemdziesiątą rocznicę urodzin Piusa XI.

(Dnia 12 Maja, 1936 roku).

Czasy, które obecnie przeżywamy, są niezwykle znamienne: dokoła nas występują corazto nowe symptomy jakiejś przemiany niespotykanej, jakiegoś gigantycznego przełomu, co już zbliża się ku nam, już nadchodzi...

Wszystkie dziedziny dzisiejszego życia opanował przemożny i bezlitosny kryzys. Rozszalał się tysiącem sytuacyj bez wyjścia i złowróżebnie zawisł nad ziemią. Dotychczasowe ustroje społeczno-ekonomiczne przeżywają się i pod groźbą katastrofy wymagają gruntownej przebudowy. Ludzkość szuka dróg wyjścia... z chaosu najprzeróżniejszych teoryj i programów uzdrowienia stosunków politycznych, ekonomicznych, społecznych powstają nowe systemy — niestety, obliczone przeważnie na efekt zewnętrzny i oparte o korzyści jednej partji, klasy, narodu, czy jednej rasy. Dziwne zaślepienie towarzyszy »doktorom« dzisiejszego życia, którzy podchodzą do zagadnienia od strony zewnętrznej, nie sięgają najgłębszej istoty — nie wnikają do duszy człowieka. Skrajny materjalizm, egoizm bezprzykładny, uwielbienie siły w najbrutalniejszych objawach przemocy i wyzysku słabszych pchają, zda się, świat ku jakiejś przepaści strasznej a nieodgadnionej, ku jakiejś zatracie...

I w tych właśnie czasach, kiedy ludzkość błąka się po manowcach przekonań, sądów i wiar, kiedy nadaremnie oczekuje ratunku, rozlega się donośnem echem głos przestrogi i otuchy zarazem, głos Ojca św., Piusa XI, co z wysokości Stolicy Apostolskiej, która od czasów Piotra trwa niewzruszona przez moce piekielne i poprzez ciemności doczesnej wędrówki prowadzi człowieka ku Prawdzie, odsłonił światu przyczyny panoszącego się zła i wskazał sposoby walki z niem.

Kiedy, piętnaście lat temu, wstępował Pius XI na tron papieski, zaczęły już występować pierwsze wyraźne oznaki zbliżającego się przesilenia. W zrozumieniu więc swego obowiązku, jako namiestnika Chrystusowego na ziemi, wydaje w r. 1922 encyklikę »Ubi arcano Dei« o pokoju, w której kreśli ponury obraz obecnego stanu rzeczy, wskazując na wzajemną nienawiść narodów, gorzkie następstwa wojny światowej oraz walkę klas, »która niby śmiertelny wrzód wżera się w serca ludów«. Główną jednak przyczyną zła jest, według słów Papieża, to, że »ludzie opuścili Pana Boga i Zbawcę naszego Jezusa Chrystusa«. Zachęca więc do »Akcji Katolickiej«, czyli do wspólnej i gorliwej pracy katolików nad rozszerzeniem Królestwa Bożego i nad przywróceniem w tem królestwie pokoju Chrystusowego. Pius XI ma tu na myśli »wielki bój za ołtarz i ognisko rodzinne, który należy stoczyć na wielu frontach«.

Zło jednak szerzy się coraz bardziej, a niezdrowe stosunki komplikują się... W roku więc 1931 ukazuje się encyklika »Nova impendet« — o brakach gospodarczych, bezrobociu i zbrojeniach, grożących światu śmiercią miljonów istnień ludzkich i zniszczeniem dorobku kulturalnego całych stuleci.

Okazuje się jednakże, iż same ostrzeżenia nie wystarczają. Przyczyny bowiem »kryzysu światowego« tkwią bardzo głęboko — w niemoralności społecznej, która doprowadziła do wytworzenia się niesprawiedliwych ustrojów społeczno-gospodarczych, pozwalających na gromadzenie bogactw materjalnych przez nieliczne jednostki kosztem wyzysku i nędzy mas. Równolegle więc z uzdrowieniem moralności i tępieniem zła, tkwiącego w duszy człowieka, musi pójść reforma stosunków społeczno-gospodarczych.

W tym też duchu rzuca Pius XI zupełnie konkretne wskazania, realne hasła: ukazuje się »Quadragesimo anno«, głośna encyklika o odnowieniu ustroju społeczno-gospodarczego, odsłania się przed naszemi oczyma piękny obraz przyszłych stosunków na ziemi, zarysowują się wyraźnie kontury nowego ustroju, opartego o naukę Kościoła katolickiego i jedno z najszczytniejszych wskazań Chrystusa — miłość bliźniego.

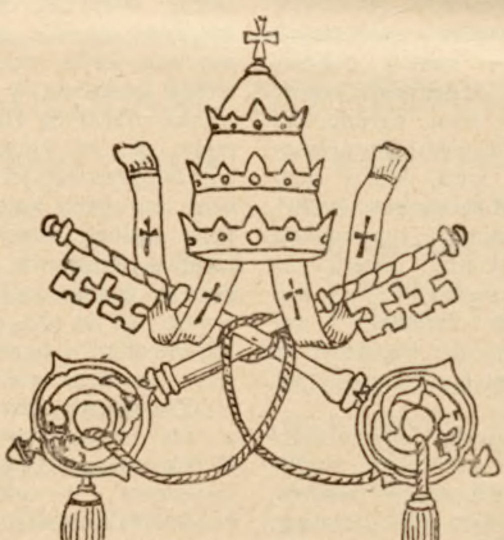
I dziś, kiedy w osiemdziesiątą rocznicę urodzin tego wielkiego Papieża pragniemy przyjrzeć Mu się zbliska, kiedy próbujemy ogarnąć całokształt tych prac, których dokonał w obliczu palących konieczności, zgłębić ich pobudki, poznać, na czem polega Jego wielkość, stajemy pełni zdumienia.

25 encyklik, które wydał w ciągu piętnastu lat panowania na Stolicy Apostolskiej, ma swe źródło w zrozumieniu potrzeb współczesnych Mu czasów i wystawia najchwalebniejsze świadectwo Jego poczucia rzeczywistości i niezwykłej wnikliwości w najgłębszą istotę wielkich problemów ogólnoświatowych, które dziś szczególnie ostro domagają się rozwiązania. Głos Jego, kiedy nawołuje do opamiętania się, rewizji dotychczasowego porządku i gruntownych zmian w imię sprawiedliwości i dobra powszechnego, jest wielkim głosem sumienia całej ludzkości, która zapoznawszy naukę Chrystusa Pana, błąka się po bezdrożach.

Ileż wiary budzi dziś w nas ta postać, co jakby jakiś drogowskaz ponadnaturalny postawiony przez Boga na rozstajach ziemskich, prowadzi nas mimo burz i niebezpieczeństw ku lepszej przyszłości, ku Królestwu Bożemu na ziemi i szczęśliwości wiecznej... Przychodzą wówczas na myśl słowa Chrystusa:... »Tyś jest opoka, na niej zbuduję Kościół Mój, a bramy piekielne nie zwyciężą Go...«

Zb. Ci.

»/«



# *To było od dzieciństwa...*

*To było od dzieciństwa: ciemnolica Królowa*
*z jasnogórskiego obrazu;*
*przed Jej oczami nigdzieś się nie schował:*
*biegły za tobą, pełne tylu milczących wyrazów.*

*I »od zawsze« pamiętam: modlitewnik matczyny, a pomiędzy kartami*

*Matki Boże, tulące uśmiechnięte dzieciny,*
*kolorowe i śliczne: zachwyt oddech ci dławił.*

*Potem znów ideałem i słodyczą się przędły*
*»o Matce Boskiej« — zwiewne Stachiewicza — »legendy«.*

*A potem »wielka sztuka« przyszła w bronzach i złotach:*

*Carla Dolce »Madonny« w wieńcu główek anielich,*

*»Magnificat« wyśpiewał natchniony Boticelli*
*i świętość się odczuło nawet w prostocie Giotta.*

*To było od dzieciństwa: Marja — można Królowa,*
*przed którą ze swą winą nigdzie się nikt nie schował,*
*którą wyśnilim matką w Coreggia Światłocieniach,*
*(a może w pocałunkach znaleźlim własnej matki),*
*której ideał żywy, utkany z tęcz promieni,*
*kochamy do ostatka...*
*...dziś Ona dni minionych radosną miłość*
*zbierze: z tysięcy młodych serc.*
*Świątynię wzniesiem wyższą nad jasnogórską wieżę...*
*z tysięcy młodych dusz, wiosennie dziś rozkwitłych*
*uczynim Pannie świętej tło jasne i błękitne.*

*Janina Unkiewicz.*

# W pierwszą rocznicę.

Serce ściska bolesny skurcz. Staje widmo minionego maja.

W ów pamiętny dzień 12 maja 1935 r., wstrząśnięci do najtajniejszych głębi — nagle uświadamiali sobie ludzie czem był dla Polski Józef Piłsudski.

Dzień 15 maja taki zawsze wesoły, świąteczny dzień, rozwijającej kwietne p[illegible] i Zofji, stał się dniem żarliwego hołdu i żałoby.

Długie godziny stały mrowie ludzi od Belwederu po Zamek. Aż w mroku wiosennej, prześwietlonej zachodzącym księżycem nocy sunąć jęły, jakby białe kwiaty, kwefy zakonnic, długie szeregi duchowieństwa.

W przeraźliwą ciszę wdarł się tupot szwoleżerskich koni. Jedyny to był w swoim składzie szwadron, na którego czele jechał dowódca pułku, na miejsca poruczników pułkownicy i majorowie, a młodzi oficerowie i starzy podoficerowie zamiast ułanów. Kto był u szwoleżerów i miał szczęście widzieć Szefa pułku pod Wilnem czy Kijowem, albo jeszcze patrzał w oczy Komendanta, gdy ten lustrował kawalerję Beliny, ten jechał w tej eskorcie ostatniej.

Na lawecie wiernego Daku spoczywał pod srebrzystym całunem Wódz.

Przekazały nam pamiętniki — wspomnienia wstrząsu jakiego doznawali ludzie na wieść o śmierci Napoleona i w czasie jego pogrzebu — wydawało się to nam trzeźwym realistom XX wieku, romantyczną przesadą.

Dziś brak nam słów do oddania przeżyć całej Polski w tym tragicznym tygodniu majowym.

Prawu serc poddali się nawet w wiecznym rozbracie z pisanem prawem żyjący złodzieje, rzezimieszki — policja przeciążona żałobną służbą otrzymała niewiarogodne, a przecie święcie dotrzymane zobowiązanie — iż do dnia pogrzebu nie będzie kradzieży, włamań, rozbojów...

Ciężka żałoba połączyła wszystkie warstwy i stany.

Stało się tak, jak to Marszałek przepowiedział, że gdy jego zabraknie, zaczną ludzie w Polsce nad państwowemi rzeczami myśleć, zastanawiać się i wykrzeszą z siebie ogrom zapału dobrej woli i twórczego wysiłku.

W ciężkiej dobie odszedł Polskę, ale przecie zostawił wskazania, rozpoczęte prace i ludzi wychował sposobnych do podołania włożonym na nich obowiązkom.

Marszałek Piłsudski był wielkim wychowawcą.

Dużo jego słów cennych i nauk już nigdy utrwalane nie będzie, ale zostały jego Pisma, wspaniałe pod względem stylu i formy, odzwierciedlające półwiekowy bez mała trud wykuwania polskiej rzeczywistości: poprzez socjalizm uczył polskiego robotnika, że żyć i pracować swobodnie będzie mógł tylko w wolnej Polsce, w młodzież akademicką wpajał, że na twardych normach etycznych musi budować swój stosunek do życia, by przyjąć zasadę, »że ten, kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku teraźniejszości, ani ma prawo do przyszłości«. Zawczasu gotował kadry żołnierzy, by gdy miecze zostaną rzucone na szale, cisnęli i polskie szable.

Wychowywał Marszałek ludzi, którym obcy stał się wszelki kompromis, którzy przywykli liczyć tylko na swoje siły, ale je mierzyć na zamiary.

Nazwano Marszałka ostatnim romantykiem... Był nim istotnie, rozmiłowany w płomiennych strofach Beniowskiego, w mesjanizmie Króla Ducha. A zarazem był realistą, który te swoje romantyczne, na przekór rzeczywistości zakreślone marzenia, przeoblekał w twardy czyn. Z mlekiem żmudzkiej Billewiczówny wyssał litewski twardy upór, hardą dumę i żelazną wolę doprowadzenia każdej rozpoczętej pracy do końca.

Gdy szable polskich żołnierzy wyrąbały granice Rzeczypospolitej, wycofał się w zacisze, pragnąc, by naród sam układał swe dzieje. Skoro się jednak przekonał, że zbyt jeszcze jest młody i niedoświadczony — przybył znowu, z hetmana przekształcił się w statystę i poprowadził pewną ręką nawę państwową.

Lecz wśród nawału zajęć, gdy w najpomyślniejszym czasie orlim swym wzrokiem już począł dostrzegać trudności przyszłych deficytów, gdy gnębił się, że 300.000 dzieci niema miejsca w szkołach[1]) — przecie znajdywał czas na hołd romantyzmowi.

Morze atramentu wylano niegdyś w sprawie przeniesienia do kraju zwłok Słowackiego — teraz padł krótki rozkaz i na Wawel ponieśli generałowie wieszcza, co królom był równy.

Surowy, wyniosły, daleki poglądał jak w splendorze dzwonów, dział i piorunów koronowano »jego« Matkę Boską, co w Ostrej świeci Bramie.

Był już starym człowiekiem, miał za sobą więzienia, Sybir, wojnę — a pracował do ostatnich godzin, rzadko pozwalając sobie na chwile odpoczynku.

Nienawidził lenistwa, warcholstwa, kłamstwa i tępił je gorącem żelazem.

Był surowy i wymagający, — drżeli przed nim ministrowie i urzędnicy.

A miał kochane, błękitne oczy i złote serce — lgnęły do niego zawsze dzieci, które darzył słonecznym uśmiechem i wiara żołnierska, która mu słodkie przezwanie Dziadka ofiarowała.

Ludzi obcych, cudzoziemców przejmował podziwem i czcią.

Gdy zjawił się w Genewie, gdzie dyplomaci zwykli załatwiać sprawy miesiącami, w jednem swem przemówieniu rozwikłał zagadnienie litewskie, tak, że zachwyceni świadkowie, nazwali to wystąpienie historycznem i nieraz je wspominali.

Imponował rządom i dyplomatom, którzy ze zdumieniem po upływie miesięcy przekonywali się, jak jedynie słusznem i właściwem było załatwienie przezeń tej, czy innej sprawy o epokowym charakterze.

W tumulcie powojennej Europy dojrzano Wielkość Człowieka i gdy odszedł On z grona żyjących, najpierwsi mężowie świata pośpieszyli z oddaniem hołdu u Jego trumny.

Wszak oficjalnie umarł tylko minister wojny i generalny inspektor sił zbrojnych — a w orszaku żałobnym kroczyli marszałkowie Anglji, Francji, Rumunji, najwyżsi dostojnicy wojskowi, szefowie rządów.

Oficerowie z obcych armij nieśli odznaczenia, przyznawane przez ich kraje tylko wielkim wodzom.

A Polska szła od Warszawy po Wawel cała sercem, myślą, duchem i powtarzała żołnierskie ślubowanie:

»Marszałek Piłsudski umarł ciałem, ale żyje duchem w sercach naszych i żyć będzie wiecznie«.

*Zofja Dłużewska-Kańska.*

[1]) Strzępy meldunków — Sławoj Składkowskiego.



Już nikt nie pytał dlaczego nam smutno. Światem spiż targał...
Kraj cały w mękę się stopił i z lękiem prawdę ogarniał.
Zapłakał Kraków i podał Warszawie bratnie ramiona —
Płakały dzieci i niosły Ojczyzny honor w swych dłoniach.

„J."

# *On żyje.*

*Są ludzie i są prace ludzkie tak silne i potężne, że śmierć przezwyciężają, że żyją i obcują między nami.*

*Milczenie znojne zawisło nad nami*
*i słowa nagie zakrzepły na wargach.*
*Nie było o czem rozprawiać przed światem,*
*dziejowa Wielkość przygniotła nas prawdą.*
*Szeregi zwarte stanęły na apel*
*— jak zawsze karne — czekały rozkazów.*
*Nie padły słowa, źrenice nie błysły,*
*a tylko cisza dławiła oddechy.*
*Zlęknione echo zastygło w powietrzu*
*i kładło cienie na groźnej trzynastce.*
*Zapadło wieko nad nocą ciężarną,*
*ustało Serce, co biło dla wielu.*
*Zamilkły usta, lecz Serce Twe żyje*
*i bije w każdym Polaku bez przerwy,*
*jak biło serce Zygmunta ze spiżu,*
*gdyś schodził cicho w królewskie komnaty.*

»/«.

# Poezja legjonowa.

Legjony Piłsudskiego powstały, aby walczyć o wolną, niepodległą Polskę, i zatrzeć granice, które wróg na żywym narodzie wyznaczył.

Legjoniści to ludzie o wielkim zapale i energji, zdolni przepchać się przez wszystkie trudności. Wielkiemu ich wysiłkowi towarzyszyła poezja, która buchnęła jakby żywym płomieniem z tego źródła mocy, uosabiających się w legjonach.

Niema epoki bardziej udatnej i silnej pod względem rozwoju twórczości poezji żołnierskiej, jak okres legjonowy. Dotąd piosenka legjonowa jest nabytkiem całego narodu, żołnierz polski śpiewa to, co ongiś grało żywą nutą w duszach legjonistów. Pieśń ta jest tem trwałem ogniskiem, które zapewnia życie legjonom, dopóki istnieje żołnierz polski. Pieśń legjonowa odzwierciedla wiernie całe życie żołnierzy, wraz z jego troskami, radościami, humorem i melancholją.

Żołnierz nie wiedział nigdy, co przyniesie jutro. Myślą wybiegał do swych najbliższych, których zostawił gdzieś daleko i zastanawiał się, czy też los pozwoli wrócić do nich.

...dusza pamięcią we wspomnień kraj tonie,
jak to tam w kraju, w dalekiej gdzieś stronie? —

Wielką rozrywką w obozie były listy. Szczęśliwy był ten, kto go dostał. Uchodząc z oczu towarzyszów, chował się z nim, całując oczami każdą niemal literkę. Legun pisał listy na pudełku, na gazecie, złożonej w kilkoro, w okopach, na kwaterach pośród raportów i brauningów. Skulony nad białym świstkiem skrobie, marszczy brwi i wreszcie posyła w świat skromną odrobinę swego wielkiego losu. »Nie wiem, kiedy wrócę, bo teraz się bijemy i czasu nie mam o sobie myśleć«. I idzie list prosty, serdeczny z kraju ognia i szybko płynącej krwi... a może zanim dojdzie już wstęga amarantowej krwi popłynie. I może nawet nikt się nie dowie, nikt nie zapłacze?

Zwłok ich nie płaczą kurhany, ni groby,
Spokojnym blaskiem słoneczna toń lśni,
Bowiem na szlaku ich nie masz żałoby,
Jeno jest triumf zmartwychwstałych dni.

Nikt nie wie, nikt nie pamięta
Tych imion, które tu leżą,
Gdzie krwawią się koniczyny
I gdzie rumianki się śnieżą.

Lecz smutek nie trwał długo, ochocza natura żołnierska broniła się przed nim.

Śmiej się dzisiaj, tańcz ogniście,
szalej hołubcami!..
jutro ujrzysz nas na liście, zalejesz się łzami...

Legun był wesoły, było to jedynie na wojnie wesołe wojsko. Z humorem szli

---

*Pisma wybrane J. P. Przemówienie w Krakowie na Wawelu 28. VI. 1927.*

w bój, pośpiewując wesoło »dziarski strzelec idzie, z każdej biedy szydzi«. Lekarz cieszył się wśród legunów powodzeniem, lubili go, ale to nie przeszkadzało im wcale pokpiwać ze sposobu leczenia.

Jesteś chory? spiesz do lekarza,
rób tam bolesne miny,
a ten, jak zwykle się zdarza,
da ci proszek — aspiryny...

Dowcipy i przycinki nie omijały samego wodza. Ów zaś uśmiechał się pobłażliwie i cieszył się. Ten humor czynił legjonistę odporniejszym na trudy i uprzyjemniał życie w okopach. Legjoniści byli to zapaleńcy, pełni wiary i ufności w odzyskanie Ojczyzny. Te same cechy spotykamy w poezji legjonowej.

I będziem walczyć do ostatka,
póki nie ścichnie kajdan zgrzyt,
póki nie zmartwychwstanie Matka,
dopóki nie wzejdzie świt.

Wiarą silną, wszechpotężną, żądną czynu natchnął legjonistów ich Wódz nieustraszony; sam miał wiarę ogromną, skoro mówił »gdy w życiu spotkasz się z przestrogą, że głową muru nie przebijesz, nie wierz temu, to nieprawda«. Piłsudski nauczył legjonistów wiary w krew i żelazo. »Tem bowiem powstają i tem utrzymują się przy życiu wolne narody«. Nic więc dziwnego, że poezja legjonowa, osnuta na tematach wojennych zawarła w sobie siłę i krasę najszlachetniejszych ideałów, których stała się wyobrazicielką.

»Tyś nas zbudził do oręża, tyś zbudził rycerzy. Przekonałeś, że zwycięża tylko ten — kto wierzy«. Żołnierz polski kochał swego Wodza. Wielu poetów legjonistów poświęciło swe zdolności szaremu komendantowi. Nigdy jeszcze w poezji polskiej nie oddano tak wielkiego hołdu orężnemu czynowi i Wodzowi, jak w poezji Józefa Piłsudskiego dotyczącej. Z pośród grona poetów tego czasu, o prawdziwych talentach, poświęcających swe pióro Wodzowi, większość stanowią przygodni poeci wojenni. Z ich utworów przebija entuzjazm dla Wodza.

Przy Tobie stoim wierna straż,
Przez Ciebie Polska będzie.
O Komendancie! O Ty nasz!
Za Tobą, z Tobą — wszędzie.

Utwory poezji legjonowej, chociaż mają różny poziom literacki, to jednak łączą się ukochaniem Idei. Z tym, komu te utwory poświęcano, szła garstka rycerzy-szaleńców w wir walki o Ojczyznę. Szła, aby dla Tej, co nie zginęła, rzucić na stos ofiarny swe wiośniane życia.

My I-sza brygada, to pieśń — według słów Marszałka — najdumniejsza, jaką kiedykolwiek Polska stworzyła. W niej zawarła się historja powstania i bohaterstwo tych, którzy na stos rzucili swój życia los, by z niego we krwi rozmokłych maciejówek wyrosła Ta — do której Wódz prowadził. Z pieśni tej bije czasem żal do społeczeństwa, że nie chciało zrozumieć szlachetnej Idei.

Mówili, żeśmy stumanieni,
Nie wierząc nam, że chcieć to móc,
Leliśmy krew osamotnieni...

Ale kończy się prędko ton smutny i już z następnej zwrotki bije buta, wiara w słuszność sprawy i we własne siły.

Nie chcemy już od was uznania,
Ni waszych serc, ni waszych dusz.

I wiodła ich do walki siła miłości ziemi ojczystej. W dołach strzeleckich, w zamokłych okopach i długich marszach, rodziła się pieśń o ukochanym Wodzu, który »uderzył w czynów stal...«, by wieść ich na bój wielki, zwycięski.

„My Ciebie Wodzu kochamy tak bardzo
za to, że w mrokach ojczystej mogiły
Tyś nie chciał mierzyć zamiarów na siły".

Poezja legjonowa — to pomnik trwały miłości ku Wodzowi. Burze i zawieruchy światowe mogą najlepszy kamień zrujnować, czas zatrze najwytworniejsze rysy, ale »pieśń ujdzie cało, do gruzów przylega i stamtąd dawne opowiada czasy«.

Ten pomnik miłości stawiać będzie przed oczy następnym pokoleniom Tego, który Polskę wolną, wielką i mocarną światu pokazał.

...Gdy po latach pełnych chwały
— pisze jeden z poetów — legjonistów —
Wybije godzina,
Matka ziemia ukochana
Przytuli, jak syna.

Naród wdzięczny własną dłonią
Usypie mogiłę,
Żeś nie tracił nigdy wiary
W ducha, jego siłę!
Wybiła godzina.

Po wielu latach wytężonej pracy, Wódz odszedł od nas. Ale duch Jego żyć będzie nadal wśród pokoleń.

Naród pożegnał przed rokiem Budowniczego państwa tą najdumniejszą pieśnią:

„Legjony to żołnierska nuta,
Legjony to ofiarny stos,
Legjony to żołnierska buta,
Legjony to straceńców los".

I własną dłonią sypie mogiłę-kopiec, jako pomnik sławy i miłości.

*Z. Urbańska* kl. VIII.
Włocławek.

# Jan Kasprowicz.

(w dziesiątą rocznicę).

Dnia 1 sierpnia b. r. upływa dziesięć lat od śmierci Jana Kasprowicza, wielkiego poety i uczonego niepośledniej miary.

Urodzony w 1860 r. w Wielkopolsce, jako syn ubogiego chłopa, dzięki materjalnej pomocy ojca, który od ust sobie odejmował, aby synowi umożliwić naukę, został przyjęty w wieku dziesięciu lat do zgermanizowanego gimnazjum w Inowrocławiu. Nie ukończył go jednak, gdyż uciekł ze szkoły po zajściu z nauczycielem Niemcem, Quade. Po maturze w jednem z gimnazjów poznańskich w roku 1884, udał się na studja zagranicę. Powróciwszy do kraju osiadł we Lwowie i tam oddał się działalności literackiej. Jednocześnie złożył pracę doktorską, a w kilka lat później został profesorem literatury porównawczej na uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Po wojnie światowej w dalszym ciągu kontynuował swoją pracę naukową. W 1921 r. został obrany rektorem Uniwersytetu Lwowskiego, a w następnym roku powołano go na członka Akademji Umiejętności w Krakowie.

Zmarł w Poroninie dn. 1 sierpnia 1926 roku.

Zbiorowe wydanie jego dzieł zawiera się w 22 tomach. Są to przeważnie poezje oryginalne i tłumaczone (głównie z języka łacińskiego, francuskiego, niemieckiego, włoskiego i angielskiego).

Kasprowicz tworzył od najmłodszych lat. W osiemnastym roku życia widział wydrukowany pierwszy swój sonet p. t. »Poranek«. W pierwszych latach twórczości zajmuje się żywo losem ludu polskiego, którego był dzieckiem, ludu prześladowanego i katowanego w bezlitosny sposób przez rząd pruski. Przypomnę tylko Komisję kolonizacyjną, Hakatę, »rugi pruskie« i td. Serce Kasprowicza krwawi się na myśl o cierpieniach braci. Z koła tych zainteresowań wyrywa go dopiero ból własny, który dla poety staje się »źródłem jego pieśni«. O cierpieniu tem powiada w swym wierszu p. t. »Bądź pozdrowiona« w następujący sposób:

„Bądź pozdrowiona, o ty bez promienia,
Który nadzieją martwe serca pieści,
Spowita płaszczem bezdennego cienia,
Źródło mej pieśni, macierzy natchnienia —
[Boleści!..."

Tu następuje zwrot w jego twórczości. Kasprowicz wzlata na najwyższe szczyty natchnienia, staje się Prometeuszem. Wzruszony do głębi niedolą bliźnich, podnosi bunt przeciw Bogu, bluźni nawet Jego miłosierdziu (hymn »Święty Boże«). Ale rychło nadchodzi chwila opamiętania i skruchy. »Fałszywym byłem prorokiem« — woła poeta. Pełen pokory i zrozumienia swej winy, domaga się kary: »Karz mię, Panie!«

Ostatnie zbiory poezyj Kasprowicza: »Księga ubogich« i »Mój świat« odznaczają się przedziwną, beztroską pogodą ducha.

Aby dopełnić tej skromnej charakterystyki twórczości wielkiego poety, niestety — należycie nieocenionego, zacytuję jeszcze jeden z jego najpiękniejszych utworów z cyklu »Z chałupy«:

Chaty rzędem na piaszczystych wzgórkach:
Za chatami krępy sad wiśniowy;
Wierzby siwe poschylały głowy
Przy stodołach, przy niskich obórkach.

Płot się wali; piołun na podwórkach;
Tu rżą konie, ryczą chude krowy,
Tam się zwija dziewek wieniec zdrowy
W kraśnych chustkach, w korałowych sznurkach.

Szare chaty! Nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy, proste — jak wy, bez rozkoszy...

Dziś wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie —
Hej, czy przyjdzie czas, co łzy te spłoszy?!...

Przyszedł jednak. Odnalazł Kasprowicz pogodę ducha i radość wewnętrzną w poddaniu się woli Bożej. I w pokoju zasnął na wieki, jako Syn już Niepodległej Ojczyzny.

*Wiesław Pyrek.*

# Garść refleksyj u mogiły Jana Kasprowicza.

Człowiek nadewszystko pragnie żyć — pragnie trwania, pragnie rzeczywistości, pragnie prawdy.

Na szczytach myśli ludzkiej, na szczytach twórczości artystycznej, toczy się ciągle zażarta, nieubłagana walka z kłamstwem frazem, z przelotną nierealnością chwilowego nastroju.

Dlatego to Mickiewicz od wysokich wzniesień Dziadów schodzi ku poziomej rzecby można rzeczywistości Pana Tadeusza i z głębi długoletniego doświadczenia rzuca wiele mówiące słowo: »trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę«. Dlatego to Słowacki, »kościół bez Boga«, jak go nazwał Mickiewicz, zmaga się przez całe życie z tęczowością łatwego słowa.

„Zawszeż nieujęcie swojej tęczowej myśli w żadne karby«. W bólu i męce ucieka przed błahością własnych przeżyć i sztucznych nastrojów: »Tak, więc to los mój, na grobow- [cach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, [kruchych...
To los mój — senne królestwa po- [siadać.

— — — — — — — — —

I tak pełen wstrętu...
Na koń! chcę słońca i wichru, tętentu«!
(Grób Agamemnona)

Aż wreszcie po latach pracy i wewnętrznej szarpaniny schodzi i on tą samą co Mickiewicz drogą.

»Weź z płótna ubranie pokorne,
Które Ci sługa twa domowa przędzie —
A świecznik także w rękę weź wesoły,
Który pozłaca szaty a czynią pszczoły«. —
(Król Duch pieśń III-cia)

A do matki pisze o swej ewentualnej żonie: »Jeśli więc to będzie jakaś byronianka, to niech sobie idzie szukać cienia mojego na skale Leukady, i pod kolumnami ateńskiemi i z przeszłym Julem niech się żeni, bo teraźniejszy chce uśmiechu na ustach kobiety, dobroci, prostoty i spokojności serca«.

Dlatego też Kasprowicz w przedmowie do Księgi ubogich broni się przed posądzeniem go o literackość:

Bierze owo ubranie pokorne, splecione z prostych przeżyć codziennego życia:

»Tą samą chodzę drogą, ścieżkami temi [samemi,
Lata mię spędzić nie mogą z mej udep- [tanej ziemi«

Aleć, że codzienność sama nie zaspokoi serca ludzkiego, dopiero Bóg przez tę codzienność przeświecający miłośnie, więc dążenie do Boga to ton współbrzmiący, coraz silniejszy, ostatecznie u kresu twórczości najsilniejszy. Wiemy jak to dążenie stanęło w poprzek literackiej działalności Mickiewicza, wyznaczyło też ono kierunek przedśmiertnej twórczości Słowackiego, było i Kasprowicza wiernego dziedzica ich lutni ostatnim akordem:

»Wynosim cię z izby,
W którejś tak banował,
Że nie możesz dotrzeć
Do niebieskich pował«.

Nie mógł »dotrzeć«, bo czynem nie chciał zrozumieć tego, co złotym promieniem świtało mu ciągle, gdy pisał »Księga ubogich«, że do Boga nie trzeba się wspinać ku górze, ale schylić się nisko, bardzo nisko ku ziemi, jeszcze o krok niżej, niż to czynił aż do najbardziej ścierającego w proch ludzką du-

mę, dumę genjusza świadomego swej wartości oddania się pod sąd człowieka, stojącego znacznie poniżej może li tylko dlatego, że Bóg taką właśnie drogą iść ku Sobie nakazał.

Kiedyż przyjdzie godny spadkobierca lutni Kasprowicza i czy pójdzie drogą Jego twórczości, a ten krok jeden naprzód do zrozumienia, że aby znaleźć Boga trzeba uniżyć się najgłębiej z piedestału swego geniusza aż do stóp człowieka realnego, człowieka zwykłego, ułomnego, ale sądzącego w imieniu Boga.

*M. S. Czermińska.*

# Brat Albert i jego dzieło.

W związku z przypadającą obecnie rocznicą 56-lecia powstania »Zgromadzenia Braci i Sióstr III Zakonu św. Franciszka, posługujących ubogim«, postać jego założyciela, Adama Chmielowskiego, popularnie zwanego »Bratem Albertem«, wzbudzać zaczyna coraz większe zainteresowanie.



Zakopane — ołtarz przed którym Brat Albert często się modlił.

**Ofiarowany Bogu.**

Dziwne były koleje jego losów. Pochodził ze starej, szlacheckiej rodziny. Aby ubłagać ratunek i zdrowie dla bardzo wątłego dziecka, pobożna jego matka Józefa z Borzysławskich, ofiarowała syna Bogu, a na chrzestnych rodziców zaprosiła żebraków, dziada i babkę z pod kościoła. Potem niejednokrotnie przypominała chłopcu o tych niezwykłych obowiązkach pokrewieństwa duchowego, które łączyły go ze światem ubogich, co na wrażliwej duszy dziecka wywarło niezatarte wrażenie.

Wcześnie osierocony, musiał od młodych lat borykać się z losem. Obdarzony wybitnemi zdolnościami, wstępuje do wyższej szkoły rolniczej w Puławach, porzuca ją jednak z chwilą wybuchu powstania z 1863 r., aby stanąć w szeregach walczących. Trafiony przez granat w nogę, jako 17-letni młodzieniec zostaje kaleką. Udaje mu się wymknąć z kraju, odbywa studja w Paryżu i w Gandawie i uzyskuje dyplom inżyniera. Następnie jednak, kierując się wrodzonemi zamiłowaniami, wstępuje do słynnej szkoły malarskiej w Monachjum. Wykazuje nieprzeciętny talent malarski, w gronie kolegów odgrywa wybitną rolę.

Jego pogląd na zadania sztuki ma charakter nawskroś chrześcijański. Ostatecznym celem sztuki, jak i wszelkiej działalności ludzkiej, winna być chwała Boża. Hasło »sztuka dla sztuki« zawiera według niego pierwiastki bałwochwalcze. Malarstwo prowadzi człowieka do Boga przez objawienie mu piękna Bożego, utajonego we wszechświecie. Najbardziej bezpośrednio spełnia to zadanie malarstwo religijne, któremu też postanowił się poświęcić.

**Natchnienie.**

Po powrocie do kraju zamieszkuje w Warszawie, a następnie w Krakowie. Tu przychodzi nań chwila przełomowa. Przysłuchując się pewnego razu rozmowie kilku obszarpanych śmieciarzy, usłyszał głos wewnętrzny: »rzuć wszystko i poświęć się tym biedakom«. Głos ten nie daje mu odtąd spokoju. Zetknąwszy się bliżej z działalnością III Zakonu św. Franciszka na kresach wschodnich, widzi w nim potężny czynnik duchowego odrodzenia narodu. Według niego lud polski,



Brat Albert żegna góry przed śmiercią.

wskutek własności swej psychiki, specjalnie nadaje się do tego zakonu. To też z zapałem oddaje się szerzeniu umiłowanej idei, objeżdżając w tym celu gorliwie wioski i miasteczka Podola. Działalność ta jednak budzi niepokój władz rosyjskich i Chmielowski dostaje rozkaz opuszczenia kraju.

Powraca do Krakowa, gdzie z prawdziwem zaparciem siebie oddaje się wspomaganiu chorych i nędzarzy. Przy tej sposobności spotyka się z t. zw. »norą«, czyli ogrzewalnią miejską dla bezdomnych i zostaje wstrząśnięty widokiem ogromnej nędzy fizycznej i moralnej, panującej wśród gromadzącej się tam biedoty. Postanawia ostatecznie porzucić świat i zawód malarza i poświęcić swe życie całkowicie służbie ubogich. U księdza biskupa krakowskiego, kardynała Dunajewskiego, uzyskuje prawo noszenia habitu brata III Zakonu św. Franciszka. Zarząd miasta, uwzględniając jego prośbę oddaje mu pod opiekę obie ogrzewalnie miejskie.

Pod zarządem brata Alberta dawne »nory« zmieniają się w schludne przytuliska, zaopatrzone w różne warsztaty pracy i kaplicę. Niesienie ubogim pomocy materjalnej łączy on zawsze z troską o odrodzenie moralne jednostek wykolejonych, starając się ratować ich godność ludzką. Po pewnym czasie brat Albert dobiera sobie garstkę pokrewnych mu duchem pomocników i tak powstaje zawiązek Zakonu Albertynów, który w ramach reguły III Zakonu św. Franciszka tworzy jednak silniejsze zgromadzenie, a za wyłączny cel stawia sobie pracę wśród ubogich. Działalność zakonu rozszerza się wkrótce i na inne miasta Polski.

Zmożony wyczerpującą pracą i chorobą, umiera brat Albert w 1916 roku, przez wielu uważany za świętego.

Kiedy brat Albert umierał 25 grudnia 1916 r., zostawił osiem domów dla biedaków mężczyzn i 12 domów dla nędzy kobiecej pod opieką czterdziestu Braci i około stu Sióstr.

Obecny stan dzieła »Brata Alberta« przedstawia się jak następuje:

I. W archidiecezji krakowskiej znajduje się cztery domy Braci, a mianowicie: dom dla ubogich, macierzysty, założony przez samego Brata Alberta, w Krakowie przy ulicy Krakowskiej 43. W domu tym siedmiu Braci obsługuje 250 osób w porze zimowej, 160 osób w porze letniej. 2) Zakład dla bezdomnych chłopców w Krakowie przy ulicy Kościuszki 86. W tym domu czterech braci obsługuje i wychowuje przeciętnie 75 chłopców. 3) Zakład dla małoletnich chłopców w Dębnikach przy ul. Tynieckiej 28. W za-

kładzie tym trzech braci obsługuje około 80 chłopców sierot w wieku od 6 do 11 lat. 4) Dom na Kalatówkach w Zakopanem, przeznaczony dla chorych Braci i chłopców.

II. W archidiecezji lwowskiej mają Bracia Albertyni również cztery domy, a to: 1) Dom dla ubogich i schronisko we Lwowie przy ul. Kleparowskiej 15. W domu tym siedmiu braci obsługuje zimą około 250 osób, latem do 190, 2) Zakład dla chłopców na Zamarstynowie przy ul. Lwowskiej 116. W zakładzie tym trzech braci opiekuje się 60 chłopcami, którzy uczą się rzemiosł, a kilku nawet uczęszcza do szkół średnich. 3) Zakład chłopców i przytulisko dla ubogich w Stanisławowie. Pracuje tam czterech braci. Liczba chłopców około 40, liczba ubogich 50—70, zależnie od pory roku. 4) Dom tymczasowy otwarty w Krzywczycach dla ubogich i bursa dla chłopców w zawiązku. Pracuje tam 2 braci.

III. W diecezji przemyskiej mają bracia jeden dom, nowicjacki, w Przemyślu przy ul. Brata Alberta. Przy domu tym jest zakład dla biednych chłopców, których liczba dochodzi do 45. Są zajęci przeważnie w stolarstwie. Jest też i przytulisko dla ubogich, dające przeciętnie opiekę 60 ubogim.

IV. W archidiecezji warszawskiej mają bracia w Warszawie 3 domy, a mianowicie: 1) Dom noclegowy. t. zw. »Cyrk« przy ul. Dzikiej 4. Tam w miesiącach zimowych czterech braci obsługuje ponad 1.000 osób, w letniej około 750, 2) Dom noclegowy na Pradze, przy ul. Jagiellońskiej 19, t.zw. »dom dla inteligencji«, w którym czterech braci obsługuje zimą 350, latem 250 osób przeciętnie. 3) Zakład dla chłopców sierot na Pradze, ul. Jagiellońska 21. W zakładzie tym czterech braci opiekuje się około stu chłopcami.

V. W diecezji częstochowskiej istnieje jeden dom noclegowy w Częstochowie przy ul. Najśw. M. P. gdzie dwu braci obsługuje przeciętnie około 80 ubogich, a nadto jeden zakład rzemieślniczy w Kamionce koło Wielunia; w tym zakładzie trzech braci opiekuje się 28 chłopcami.

VI. Wreszcie w diecezji kieleckiej jest jeden dom dla chorych braci i chłopców. Przebywa w nim obecnie dwu braci i kilku słabowitych chłopców.

*M. S.*



Zakopane — Dom, w którym umarł Brat Albert.

# Droga naiszersza.

Płynąc w radości i gestem ląd wydeptany żegnając —
wiemy: tą drogą zabrani — wracać nie mamy potrzeby.
Tylko ramiona prężnieją i kipi wezbrany mózg!...
— Drogo szeroka — Wisło, — płynny brzegowy kraju,
w młodość wierzący i szczęście — wodą kipiący i niebem —
nam obłąkanie promienne i z boków pokłony łóz.
Nocą, gdy cicho i chłodno — bujną niebieską murawę
kruszą na złote ułamki gwiazd kretowiska.
Błyszczą w mijaniu ogniki białe, zielone i krwawe,
a pod wiosłami sinemi woda się burzy i pryska.
Długą podróżą strudzonym przybędą gościnne brzegi.
Zejdą wioślarze z kajaków i strawę spożyją prostą,
Na sutej ze słomy pościeli — krótkie krzepiące noclegi —
sny wierszowane — upięte w pieśni chóralnej akrostych.
Rankiem do uszu szturmuje trąbki rtęciowy dźwięk.
I znów na fali ramiona skrzydłom ochotnych podobne.
Miasto nad wodę, nad wodę! — Gniazdo przylotów — Warszawo!
Śmiglej kajaki pluszczące! Prąd na kamieniach pękł.
— Wynijdź na ląd przychylny i dumę na piersiach obnoś.
Pył wielkomiejski na stopy. Dymów na głowę zawój!..
Dniami, nocami płyniemy — woda błękitny różaniec.
Zdrowaśki wsi na ustach i Tajemnice miast.
W to jedno drgania muskułów — morzu wieczności nas zanieś
fało ruchliwa, wysłuchaj i Gdynią, Gdynią zbaw nas!...
Chwałę w ruinach uczcimy. Stare zamczysko w Złotorji —
mech na kamieniu i wiatr 'buntem nam krtanie zakrztusi.
Czoło zmarszczone ku ziemi. — Powrót podartej historji
sera roztłucze o niebo i dawne hymny zanuci.
Kiedy żeglarzom w Toruniu dzień pod księżycem usypiał —
było najpiękniej garściami czerpać srebrzysty płyn.
— Pójdź — niech obudzi to miasto w kamień zastygły Skrzypek,
bijąc melodją pokutną w rdzeń ordzewiałych win...
Uczył jak łączyć dwa brzegi — chociaż tak bardzo odległe —
most przewieszony przez Wisłę pod ociemniałym Fordonem.
— Było wiadomo, ku czemu wiatr porywisty niósł.
Wtedym się począł ku brzegom chylić w wiosłowych pokłonach,
wierząc w Nowinę z cementu, żelaza, wapna i cegły —
wzrosłą na brzegu, gdzie dawniej na wichrze pustka i gruz.
To, że na górze z prawej wieże wypadną znienacka —
Grudziądz — to miasto kapeli skocznie grającej na brzegu.
I park i księżyc nanowo — lepko przylgnięty do drzew.
— Znowu kajaki na wodę w równych szeregach...
Wyrwie się nagle spod ziemi słoneczny Gniew
i nawet w słońcu serdeczna twierdza krzyżacka.
Kiedy od Tczewa za szluzy kajak się zwrotny przedostał —
wicher burzliwy zapienił morzem grającą Wisłę.
Chrzest utrudzonym ramionom — twarzom pot słony i chłosta.
Miastu kajaki i wiosła — morzu oddechy rozprysłe.
— Wisło szeroka — głaszcząca miasta kamienne — w modlitwie!...

*Usta nie mówią ojczyście —*
*w ustach i klęska i gorycz.*
*To tajemnica ostatnia twardych*
*wyroków i praw.*
*— Morze bezwzględne i zimne*
*w wieczystej z brzegami bitwie —*
*naucz odwagi zwycięskiej — wypłócz z okrutnej pokory —*
*piersiom daj serce — ramionom:*
*— żagle na wichry spraw!..*

*Wł. Podstawka.*
*„I“*



# Za progiem szkoły.

(Dziennikarka).

— Będziesz dziś w klubie?

— Dzisiaj?

— No tak! Przecież środa!

— Ach, rzeczywiście. Wiesz, jeśli ty się też wybierasz, to chodźmy razem.

— Świetnie!

Obie słuchaczki Wyższej Szkoły Dziennikarskiej opuszczają gmach gimnazjum im. Reja, w którem mieści się ich uczelnia. Mijają zbór ewangelicki i otaczający go skwerek. Halę, spoglądającą czule na delikatne, wiosenne listki bzu, ogarnia lekkie marzenie.

— Wiesz, Hanko! Ktoby pomyślał, że ja będę dziennikarką? — Ba! Że wogóle wstąpię na »W. S. D.« Wyobraź sobie, że już cały kawał czasu po maturze, nie wiedziałam jeszcze o istnieniu takiej uczelni.

? ?

— No, bo przecież miałam być doktorem medycyny, już od czwartej klasy gimnazjum. Wymagały tego »względy rodzinne«.

— Jakto?!

— To znaczy: dwóch dziadków lekarzy, ojciec, stryjowie, ciotka, kuzyn — doktorzy medycyny. Rozumie się — podtrzymanie tradycji.

— Zbuntowałaś się?

— Zaczekaj! Nie tak odrazu! Do ósmej prawie klasy byłam wierna medycynie i cieszyłam się z tego powodu szczególnym szacunkiem tych koleżanek, które nie wiedziały jeszcze, co poczną ze sobą po maturze. Ale potem medycyna upadła. Zrodziło się tysiąc nowych projektów, a równocześnie nic konkretnego. Poprostu wszystko mię szalenie interesowało, chciałam wiedzieć jak najwięcej i dlatego na nic nie mogłam się zdecydować.

— Wyobrażam sobie, jak rozpaczliwe musi być takie szukanie drogi — westchnęła Hanka.

— Jakto? — »wyobrażasz?«

— No tak! Ze mną było zupełnie inaczej. Już jako 7-letnia dziewczynka stworzyłam poemat uznany później przez fachowców za... erotyk!

— W kilka lat później pisałam również wiersze:

»Serce kobiety! Tyś jest jak skała,
Co dumnie w dal pogląda.
Nie jedną burzę już widziała,
Nie jedną burzę przeżyć miała,
Serce kobiety! Tyś jest jak skała«...

— Doskonałe! Nie wiem tylko, jak ty sobie z tem »skalistem sercem« w dziennikarstwie poradzisz. Trzeba przecież »czuć«, żeby móc pisać — śmieje się Hala.

— Daj pokój. Miałam wtedy 15 lat. Potem byłam mniej poetyczna. Pisałam nowele, sztuczki sceniczne, odgrywane przez uczenice i różne okolicznościowe referaty na obchody narodowe. Już wtedy zupełnie

zdecydowana byłam poświęcić się karjerze pisarskiej.

— Pragnęłam zawsze iść za postępem cywilizacji i jak to się mówi »trzymać rękę na pulsie życia«. Bałam się poprostu pozostać wtyle za innymi. Próbowałam początkowo połączyć Wyższą Szkołę Dziennikarską z uniwersytetem, jak to robi wiele naszych koleżanek i kolegów, studjujących równocześnie prawo, lub polonistykę, albo psychologję: rano uniwerek, popołudniu wykłady na »W. S. D.« Zdecydowałam się jednak na dziennikarstwo, które lepiej zaspakaja moje pragnienie aktualności.

— We mnie znów — podjęła Hala — zwyciężyła ciekawość, gwałtowna chęć poznania świata i to możliwie najbardziej wszechstronnie. Czułam zawsze, że zasklepienie się w jednej dziedzinie nauki, choćby najbardziej bogatej i ciekawej, będzie jednak dla mnie niewolą. Dlatego wolałam zrezygnować z miana »znawcy« medycyny, historji, botaniki, czy prawa i zostać dziennikarzem, który może być poniekąd dyletantem, ale zawsza wszechstronnym. Zawód ten daje pozatem możność, a nawet konieczność bezustannego samokształcenia. Taka samodzielna, świadoma praca nad sobą ma w sobie coś twórczego, podnosi poczucie stopniowego udoskonalenia się i postępu.

Dziewczęta minęły ulicę im. Traugutta, przecięły w poprzek Krak. Przedm. i skierowały sie na Sewerynów do Klubu słuchaczy Wyższej Szkoły Dziennikarskiej.

— Od jak dawna ty „się drukujesz ?« — zagadnęła Hala.

— Od jesieni tego roku. Wiesz przecie, że większość naszych koleżanek i kolegów już na drugim roku »W. S. D.« otrzymuje praktykę w redakcji, lub zaczyna drukować swe prace. Dopiero w tej chwili — dodała — zdałam sobie sprawę z tego, że wiele z nich odpadło po roku studjów. Przyczyniły się do tego: wysokość czesnego — (360 zł. rocznie, nawet w 6 ratach, plus opłaty egzaminacyjne, to jednak bardzo wiele) — i może częściowo brak zdolności.

— Rzeczywiście — przerwała Hala, wchodząc już na schody — omawiając kwestje naszego zawodu, pominęłyśmy niesłychanie ważną, najbardziej istotną sprawę zdolności.

— Dzieńdobry! — rozległ się za niemi wesoły głos Ewy. Nie byłam dziś na wykładach, ale za to miałam bardzo ciekawy wywiad z panią K...: dalsze słowa zagłuszyły dźwięki patefonu i gwar młodzieży zebranej w klubie.

— Z tą znaną dziennikarką ?

— Tak! I to właśnie na temat zawodu dziennikarskiego.

— Świetnie się składa — zawołała Hanka. Opowiedz nam, co o tem myśli pani K.? Rozmawiałyśmy przed chwilą o Wyższej Szkole Dziennikarskiej! Przecież to jedyna uczelnia, która daje teoretyczną znajomość strony technicznej zawodu dziennikarskiego i zakreśla program samokształcenia, niezmiernie trudny do ustalenia dla młodziutkiej maturzystki.

— Zaznajamia z językiem francuskim i niemieckim, uczy stenografji. Zapewnia wreszcie po ukończeniu możność objęcia stanowiska w służbie państwowej na równi z absolwentkami innych wyższych uczelni... — recytuje ze śmiechem Hala. — Ale przecież zostać dziennikarzem można i w inny sposób.

— Naturalnie. Pani K. mówiła właśnie, że wśród znanych dziennikarzy współczesnych spotykamy ludzi o najbardziej różnorodnych wykształceniach; nie brakuje wśród nich także samouków, a zaledwie kilku posiada dyplomy szkół dziennikarskich — odrzekła Ewa. Zdaniem mojej rozmówczyni, przedewszystkiem należy posiadać zdolności. Staje się to szczególnie ważne dziś, gdy dziennikarstwo przestaje już być tylko »pisaniem przy biurku«, a nawet publicystyka wiąże się bezpośrednio z aktualnemi zagadnieniami chwili. Dalej trzeba się interesować wszystkiem i kształcić się bezustanku. Pani K. jest zdania, że chcąc być dziennikarką, neleży wyrobić w sobie aktywny stosunek do życia, t. zn. być nietylko obserwatorem, ale i walczyć o zmiany tego życia na lepsze. Trzeba wreszcie umieć skupić się „na zamówienie“ i pracować często w nieodpowiednich warunkach.

— To cały wykład! — przerwała jej jedna z koleżanek.

— Być może. Często się zdarza, twierdzi pani K., że ktoś chce zostać dziennika-

rzem, żeby mało i łatwo pracować. Tymczasem zawód ten wymaga właśne niesłychanej pracy, absorbującej i wyczerpującej nerwowo. Dlatego trzeba mieć ku temu odpowiednie warunki fizyczne: dobre zdrowie i mocne nerwy.

— Widzę, że twoja rozmówczyni jest pesymistką i niezbyt poleca swój zawód — zauważyła Hanka.

— Wprost przeciwnie. Rokuje wielką przyszłość i szybki rozwój pracy, która przy wzmożonem czytelnictwie, gdy minie kryzys, będzie mogła wchłonąć znaczne ilości młodych i zdolnych dziennikarzy, dając im zupełnie dobre warunki bytu i zapewniając bez trudu około 300 zł. miesięcznie. Zawód ten jest bardzo odpowiedni dla kobiet, które się spotkały z wielce przychylnem przyjęciem wśród „kolegów po fachu", szybko zyskały ich zaufanie, oraz uznanie dla swej pracy.

— Więc pani K. zachęca? — rzuca radośnie Hala.

— W każdym razie nie zniechęca. A to już wiele — dodaje z westchnieniem Ewa. Tak trudno przecież teraz o pracę.

*M. S. S.*

**Dopisek Redakcji:**

**Jeżeli która z naszych Prenumeratorek poczuje w sobie iskrę zapału autorskiego, jeżeli chce wyrobić w sobie »aktywny« stosunek do życia, chce być nietylko obserwatorem ale i »walczyć« ofiarnie o lepszą przyszłość, prosimy o współpracę, bo trzeba nam »Ludzi jutra«.**

# Jaki zawód obiorę?

Obierając zawód wychowawczyni, trzeba mieć przedewszystkiem cudowny dar Boski jednania sobie dzieci.

Słusznie ktoś powiedział:

— Tak samo, jak nie każdy nadaje się na poskromiciela lwów — tak i nie każdy może wychowywać dzieci.

W słowach tych zawarta jest wielka prawda, przecie te same dzieci przy jednych to łagodne cherubinki, a przy drugich przeistaczają się w stado złośliwych »bachorów«.

Jedni kochają ten zawód, a inni ukuli przekleństwo:

— Bodaj żeś cudze dzieci uczył...

Dlatego też do tego zawodu zamiłowanie jest rzeczą najważniejszą.

Kto go nie ma, to w tej pracy w ciągu kilku lat starga zdrowie i nerwy. Oczywiście, żaden zawód nie może dać tyle zadowolenia, co wychowawczyni — przecież ma ona w swoich rękach wrażliwą duszyczkę dziecinną, którą będzie urabiać. Zawód ten staje się dziś coraz bardziej zróżniczkowany na trzy zasadnicze działy: wychowawczyni domowa, której zajęcia polegają na pielęgnowaniu i wychowywaniu małych dzieci od lat 2—7. Wychowawczyni domowej powierzane więc jest bardzo trudne i odpowiedzialne zadanie — kierowanie dzieckiem w okresie kształtowania jego charakteru i umysłu. Niejednokrotnie wychowawczyni domowa musi zastąpić dziecku matkę w czasie jej nieobecności; zawsze zaś spełnia rolę pomocnicy w opiekowaniu się dzieckiem, włącznie do przygotowywania pokarmów, szycia, reperowania, a nawet prania bielizny dla niego.

2) Wychowawczyni pielęgniarka. Niewiele dziś osób może sobie pozwolić na przyjmowanie do dziecka stałej domowej wychowawczyni, większość korzysta z przedszkoli. Zakres zajęć wychowawczyni przedszkola jest bardzo szeroki — organizuje ona zabawy i gry ruchowe dla dzieci, uczy je najrozmaitszych robót ręcznych, rysunków, rytmiki, gimnastyki, śpiewu i t. p.

Trzecim zawodem, który się wyodrębnia są t. zw. opiekunki świetlic.

Świetlice organizowane są w tym celu, by dzieci w wieku szkolnym, nie mające w domu odpowiednich warunków do nauki, miały gdzie odrabiać lekcje! Świetlica poza odpowiednim do pracy lokalem, również zapewnia dzieciom pomoc w nauce ze strony opiekunek. Chwile wolne od nauki spędzają

dzieci na wspólnych grach, zabawach, robotach i t. p.

Kandydatka na wychowawczynię musi być zdrowa i odporna na zmęczenie zarówno psychiczne, jak i fizycznie.

Musi się odznaczać łagodnością i miłą powierzchownością.

Musi mieć dobry wzrok, słuch, muzykalne ucho — miły i wyrobiony głos, zdolności do rysunków i ręcznych robót. Potrzebne zgrabne ręce, umiejące z lada papierka cudną bajkę wyczarować.

Wychowawczynią może zostać osoba tylko o istotnej wartości moralnej i o wyrobionem poczuciu odpowiedzialności, odznaczająca się charakterem samodzielnym, energicznym, wytrwałym, a zarazem łagodnym, pobłażliwym i cierpliwym.

Jednostka pracująca w tym zawodzie, musi wykazywać usposobienie żywe, pogodne i bardzo serdeczne. W pracę swoją winna kłaść dużo serca i duszy.

Dziewczęta nerwowe, nieopanowane i porywcze, nie mogą być wychowawczyniami dzieci.

W Warszawie istnieje szkoła wychowawczyń domowych prowadzona przez S. S. Miłosierdzia — ponadto jest Szkoła wychowawczyń przy ul. Czerniakowskiej 47. Nauka wraz z internatem kosztuje około 80 zł. miesięcznie.

Na to, aby zostać wychowawczynią przedszkola, trzeba mieć skończone seminarjum ochroniarskie. Do seminarjum przyjmowane są kandydatki z ukończoną pełną szkołą powszechną. Seminarja dla wychowawczyń przedszkola istnieją w Warszawie, Lwowie, Krakowie, Wilnie, Poznaniu, Mysłowicach, Częstochowie. Oprócz tego egzystują również seminarja prywatne.

Nauka trwa trzy lata — opłaty w seminarjach państwowych są bardzo niskie, a w prywatnych stosunkowo bardzo wysokie, bo sięgające 480—800 zł. rocznie, płatnych w ratach miesięcznych.

Na pracownice świetlic chętnie angażowane są absolwentki Szkoły Pracownic Społecznych Polskiej Macierzy Szkolnej w Warszawie.

Wymagane tam jest świadectwo z 6 kl. gimnazjalnego typu i wiek od ukończonych lat 10 do 25. Jednostki nie posiadające wymienionych studjów mogą być przyjęte w charakterze słuchaczek nadzwyczajnych.

Kurs nauk w tej szkole jest dwuletni. Pozatem istnieje jednoroczna szkoła Pracy Społecznej im. A. Baranieckiego w Krakowie. Szkoła ta jest koedukacyjna, tam wymagana jest dwuletnia praktyka w organizacjach społecznych.

Sprawa płac nie przedstawia się świetnie, ale też i nie najgorzej.

Przeciętnie wychowawczyni domowa pobiera od 20—60 zł. plus pełne utrzymanie. Kierowniczki świetlic przedszkoli pobierają od 80 zł. do 250. Zależnie od wykształcenia, lat pracy, ilości dzieci i t. d.

Zapotrzebowanie na wykwalifikowane siły jest znaczne, ale i tutaj kryzys wycisnął swe jadowite piętno. Szczególniej fatalnie odbiło się osławione hasło powrotu mężatek do domu.

Matki, które poredukowano, z konieczności musiały się rozstać z płatną pomocą, co często w pierwszym rzędzie dotknęło wychowawczynie.

Wychowawczynie mogą otrzymać posady w przedszkolach organizowanych przez samorządy, instytucje społeczne, oraz osoby prywatne w miastach, po wsiach i t. p.

*Marja Dąbrowa.*



# *KONCERT.*

*Estrada.*
*Cielsko fortepianu czarne i lśniące,*
*Jak paszcza potwora rząd zębów-klawiszy odsłania.*
*Pełna niepokoju i wyczekiwania*
*Cisza.*

*Serce w piersiach uderza, jak ptaszę spłoszone.*
*Przed oczyma migają kolorowe kręgi.*
*Ale już białe ręce na białych klawiszach.*
*Jakiś akord. Dźwięki urwane, jakby przestraszone.*

*Dotyk spojrzenia, które go dosięga,*
*Sprawia wprost ból fizyczny.*
*Lecz powoli słabnie.*
*Palce, co spoczątku ruszały niezgrabnie,*
*Znalazły nagle w chłodzie klawiszy*

*jakiś ton swój, znajomy.*
*I w nicość zapada*
*Cała ludzkość!*
*Tylko serce słyszy*
*Ten śpiew cudny, daleki,*
*Który trzeba przelać w tony.*

*Jakiś smutek. Pełno czarnych, złowieszczych bemoli.*
*I oto artysta z swych trosk się spowiada,*
*Mówi o wszystkiem co rani i boli.*
*Fortepian łka, jęczy, cierpi! — żyje!*
*Drgają struny zaklętej w nim duszy artysty.*

*Nagle ręce zamarły na klawiszach.*
*Powróci świat rzeczywisty.*
*Cisza.*

*I nagle burza oklasków.*
*Rozentuzjazmowana publiczność coś krzyczy,*
*Oczy błyszczą wzruszeniem.*
*Ukłon.*
*I oto cudne kwiaty pachnącą powodzią*

*Do stóp padają.*
*Sława w aureoli złotych blasków,*
*Jedyne marzenie*
*Przychodzi.*

— — — — —
— — — — —

Z widowni ktoś daleki, niezauważony
*Utkwił swych ciemnych oczu spojrzenie*
*W artystę*
*I w podzięce mu składa za przecudne tony*
*Dwie, drżące na rzęsach, jak perły, łzy czyste.*

*Wanda Pieniążkówna.*

# Djabelska Skałka.

Legenda górali szczawnickich.

Dawno, bardzo dawno temu... może jeszcze wtedy Polski nie było?... ale polskie góry i nasi górale byli napewno. Tak przynajmniej opowiadają smukłe góralki, zapatrzone w dal, ze szczytu gór...

Otóż bardzo dawno temu, podobno te piękne, niebotyczne skały Tatr, te wielkie góry ich podnóża, aż ku węgierskiej granicy, były miękkie, choć kamieniste i rosły ciągle wzwyż, a górale radowali się, że kiedyś do nieba zaglądną, pokłonią się Najświętszej Panience i powrócą w doliny, opowiadać o cudach niebieskiego świata.

I dobrzy byli ludzie. Dziewczęta pracowite, posłuszne i skromne, chłopcy odważni i zwinni, dzieci — grzeczne, starsi — pobożni, wszyscy zapatrzeni w rosnące góry i ożywieni nadzieją oglądania Boga. I urosły góry już tak wielkie, że białe obłoki rozbijały o nie w locie swe piersi łabędzie, pozwalając królować nad sobą ich szczytom. I nieraz smukła góralka wybiegła z rozwianą kosą, blisko szczytu i zatrzymała się ustrojona w biel przeźroczystych chmurek, jak w welon dziewiczy...

A u jej stóp rosły białe gwiazdki szarotek, jakby z aksamitu wycięte i jedwabiem w środku zahaftowane, lub — wił się widłak, marny potomek niegdyś potężnych drzew.

Lecz nie zrywała górskiego kwiecia młoda góralka, nie pragnęła ozdobić niem swego warkocza, lub chaty. Patrzyła tylko z zachwytem i pozwalała kwiatkom rość na chwałę Bożą i gór upiększenie.

Nie był jeszcze wówczas znany zakaz niszczenia przyrody tatrzańskiej, pod grozą kary, jak to jest obecnie, gdy osoby swawolne i bezmyślne, dla chwilowej rozrywki lub zysku, pustoszą — coraz rzadziej spotykany — kwiat szarotki, zmuszając takiem postępowaniem, do rozlepiania na słupach i domkach tatrzańskich, rozporządzeń zapobiegawczych. Ludzie byli dobrzy i niepotrzebne im były zakazy i kary.

Bujały orły nad górami, na połoninach, podzwaniały dzwonki kóz i owiec, zwijali się juhasy, pykał fajkę stary baca, juhasami rządzący, a nikt nie kłócił się między sobą, ani czyją owcę skradł, ani zaszemrał przeciwko woli Bożej.

I oto przestraszył się szatan, aby nadzieja drogi do nieba nie uszlachetniła ludzi, wydzierając ich dusze z jego mocy.

Więc zeszedł w doliny, wieść na pokuszenie.

Sprawnie mu szło.

W serca dziecięce zaszczepiał nieposłuszeństwo i bunt, chłopców do krwawych bójek popychał, dziewczętom zarozumiałość w dusze wlewał.



PIENINY

Trzy Korony

A nieraz w karczmie rzędem z grajkiem zasiadał i swawolną muzyką do grzesznych rozrywek pobudzał.

I lała się gorzałka, a za nią bezwstyd i przekleństwa — w parze biegły.

Grzech przeszedł po świecie...

Posmutnieli górale, lecz bezradni byli.

A góry wciąż rosły, tworząc wał niebosiężny. Były już tak duże, że szczyty ich śnieg pokrywał, a deszcz przelatujący przez turnie — w śnieg się zamieniał. I rwały — prawie od wierzchołków — z potężnym hukiem wodogrzmoty, zamieniając się w dolinach, w szumne, górskie potoki.

Ale smutno było...

Szatan ręce zacierał z radości, a gdzie się zjawił — żniwo zbierał obfite. A choć góralki po dawnemu wyszywały i przędły, a górale — sprzęty w izbach — jak zawsze, cudnie rzeźbili, czy to krzesła, czy piękne ramy do wieszania ubrań i stawiania świętych obrazów; choć jednako juhasy na całe lato owce w góry gnali — coś się zmieniło — bo grzech przeszedł po świecie.

A kiedy już nawet połyskujący za pasem topór góralski, krwią bratnią zmazał się niejednokrotnie — zwycięski szatan zapragnął Bogu się przeciwstawić. Rozejrzał się po górach, rozśmiał się gwizdem przeciągłym i zaczął biec na najwyższy szczyt, blisko Boga.

Chwieją się czarne skrzydła szatana,
Dzwonią o siebie kopyta, a dusza wiecznie nie syta,
W walce z Chrystusem się pręży, ufna, że kiedyś zwycięży!

U kresu swej wyprawy, na wierzchołku niebosiężnej góry, zapragnął spojrzeć twarzą w twarz — Bogu!

Lecz z nieba pieśń archanielska, jak strumień wody święconej
Spłynęła — i przerażony szatan, ciężarem cielska,
Padł twarzą, w rozpaczy szale, znacząc swą postać na skale!

Nie pomogła pycha szatańska, ani pogróżki. Za pierwszym dźwiękiem głosów służby Bożej, stracił wszelką moc i upadł bezwładny, odciskając na miękkiej wówczas skale, kopyta, ręce i tułów.

Wyjrzeli szatani z piekła, w czarne skrzydła kryjąc twarze, ze wstydu i złości. Gwizdnął przeciągle Lucyfer, do bojowego szyku wzywając zastęp czarnych wojowników. A zwyciężony, leżał wciśnięty w skałę, znieruchomiały bólem upokorzonej pychy, zwątpiały w swoją robotę, aż go kilku djabłów dźwignęło i ze sobą poniosło.

Odtąd ta góra nosi nazwę »Djabelskiej Skałki« i nikt na nią — bez przeżegnania krzyżem świętym — nie odważy się wejść.

Lecz choć szatan padł twarzą przed Majestatem Bożym, ziarno grzechu posiane przez niego na ziemi, wydawało plon. Jak liczny kąkol w pszenicy, barwiła się złość ludzka, przygłuszając, pozostały gdzieniegdzie, klejnot cnoty.

Patrzyła z nieba Matka Boża, na sztuczki szatana i żalem zdjęta, zapragnęła zejść na ziemię, szepcząc o tem do Jezusa:

— Patrz, mój Jezuniu, Synku Miły, co moce djabła uczyniły!

Jak się na życia chwieją szali, uczciwe dusze Twych górali... Jak zmilkła górska pieśń wesoła, jaki mars bólu szpeci czoła!

I jakie smutne, mój Jedyny i szczyty gór i połoniny!

Nawet dzwoneczki smutniej dzwonią, gdy stado owiec do chat gonią... Niebo ma barwę mniej błękitną, w górach szarotki rzadziej kwitną. I takie grzechu tłoczy brzemię, że zejdę, Synku mój, na ziemię!

Obłoczki otuliły Ją w swe szaty, oderwał się skrawek nieba i welonem na ciemnej główce zawisł... Pouczepiały się gwiazdy Jej postaci, pragnąc zejść na ziemię i wejrzeć zbliska w bezsilne dusze ludzi... Promyk słońca, jak djadem błysnął w Jej koronie, a ona szła, z uśmiechem, rozmodlona, w sercu miłująca.

A gdzie przeszła — słodycz łez zmywała grzech i szlachetniały dusze ludzi.

Dziateczki stawały się grzeczne i pilne; brat przebaczył bratu, grzeszni pokutować zaczęli i błagać Boga o przebaczenie. Nawet roślinność ożywiła się cudownie i woda w potokach srebrzyła się jaśniej i szumiała triumfalnie.

Aż rozbrzmiał po świecie, z serc ludzkich i gardziołków ptaszęcych, wielki śpiew: — Hosanna! hosanna! — Uradowała się przeczysta dusza Królowej Nieba i dalej szła, niepomna trudu, szła to w góry, to w doliny — i o różowym wschodzie sło-

neczka i w złociste południe i w purpurowy zachód... Szła, kiedy księżyc srebrem łagodnych blasków ziemię oświecał, a gdy do wnętrza chat spojrzała — ludzie sen mieli spokojniejszy i nawet we śnie szlachetniały im dusze.

Aż raz idąc przez góry, skaleczyła bosą nóżkę o sterczący kamień, a kropla krwi stoczyła się, jak koralik i wsiąkła w ziemię.

Drżenie poszło po górach.

Schyliły główki białe szarotki, jak rój gwiazd...
I jodeł lasy całe... Gwar umilkł pośród gniazd...
Nawet wodospad dumny wyraził jękiem żal,
A górski potok szumny łzy wysłał grzbietom fal...
Westchnęły zbożne kłosy, zadrżały zwiewne mgły...
I zapłakały rosy nad kroplą świętej krwi!...

A góry skamieniały z żalu!

Odtąd nie urósł już żaden ze szczytów, nie śmiejąc być bliżej nieba. Po tem smutnem zdarzeniu i powierzchnia gór stała się twarda, jak opoka.

Matka Boża, przebaczająca wszystko — wszystkim, nie gniewała się na niegościnny kamuszek, który Jej stopę skaleczył, lecz przyroda sama, odczuwszy głęboko niewdzięczność jakby swoją, wobec dobroci i miłosierdzia Najświętszej Panienki — wezbrała żalem nieutulonym.

I nie rosną więcej żadne góry.

Szczyt »Djabelskiej Skałki« nosi do dziś dnia ślad upadku szatana i jest postrachem małych pasterek, skaczących po szczytach gór, za powierzonymi sobie kózkami.

Naprzeciw »Djabelskiej Skałki« jest góra zwana »Połoniny«, zieloną trawą porosła i drobnemi jodłami. Z drugiej strony — góra »Bryjarka«, najwyższa z nich, z ogromnym krzyżem żelaznym na szczycie.

W dolinie leży wioska Szczawnica, bijąca niezmierną ilością źródeł leczniczych, które niosą zdrowie ludziom chorym.

I kręcą się weseli górale, choć opuściła ich nadzieja, że po szczytach Tatr zajrzą kiedyś do Królestwa Niebieskiego — jeszcze z tego świata i opowiedzą ludziom Tajemnicę Bożą.

*Jagienka z pod Lublina.*



*W dali miasto gdzieś majaczy,*
*A nad rzeką jest inaczej:*
*Stare wierzby ponad wodą*
*Dziwny tan z falami wiodą;*
*Świeżość wiosny tchnie wokoło*
— *W sercu lekko i wesoło.*

*Dziunia Kociubińska* gim. 523.

# Zamiłowanie ogrodniczki.

Polska jest w 3/4 krajem rolniczym, zupełnie więc jest zrozumiałem, że przy obecnej konjunkturze społeczeństwo szuka dróg wyjścia z bezrobocia w dużej mierze w rolnictwie. Rozwinąć, uprzemysłowić tę dziedzinę a temsamem zatrudnić liczne rzesze ludzi — oto zadanie dnia dzisiejszego. Wśród naszych kobiet ogrodnictwo wzbudza najwięcej ochotniczek, może dlatego, że zawód ten daje wiele zadowolenia z osiągniętych rezultatów i że ostatecznie nie trzeba nazbyt długo czekać na dodatnie wyniki swej mozolnej bądź co bądź pracy. Jest to także jeden z najzdrowszych fachów, który z powodzeniem zastąpi wszelki sport, lecz wymaga dłuższej nauki, długiej i dobrej praktyki

i wytrzymałości fizycznej. Zagranicą kobiety-ogrodniczki to jeszcze rzadkie wyjątki, Polki pod tym względem są liczniejsze, jak zresztą przystoi w kraju rolniczym. Coprawda jest jeszcze pewne uprzedzenie co do ogrodniczek, że nie podołają fizycznym wysiłkom, że nie potrafią utrzymać w subordynacji podległego personelu pomocniczego.

Tymczasem te, które zdołały mimo wszystko przezwyciężyć te trudności i pracują samodzielnie, odpowiedzialnie, cieszą się wielkiem uznaniem. Np. w Grodzisku pod Warszawą są wielkie zakłady ogrodnicze prowadzone przez dyplomowaną ogrodniczkę, która zaczęła od małych szczepów i sadzonek, dziś tam są wspaniałe warzywa, piękne bogate oranżerje, doborowe drzewka owocowe, a produkty stamtąd wysyłane są wszędzie na pobliskie rynki.

Oczywiście największym autorytetem cieszą się dyplomowane ogrodniczki, które kończą Wyższą Szkolę Gospod. Wiejskiego w Warszawie, jedyną w Polsce, i po odbyciu potem dłuższej praktyki w jakimś renomowanym zakładzie ogrodniczym lub uprzemysłowionym majątku ziemskim. W skład studjów, trwających 5—6 lat, wchodzi: sadownictwo, warzywnictwo, kwieciarstwo, planistyka, ekonomja (administracja, handlowość), ostatnio nawet dodano praktyczne przetwórstwo. Można się specjalizować w jednym z tych działów, jednakże dla podjęcia się kierownictwa, i lepszego zarobkowania trzeba traktować ogrodnictwo ogólnie, jako całokształt, jednego odcinka rolnictwa.

Po ukończeniu studjów praktykantki odbywają praktykę bezpłatnie, lub za utrzymanie po majątkach i zakładach ogrodniczych i czem lepsza praktyka tem szanse i zarobkowania pewniejsze. Jak nas poinformowano w sekcji pośrednictwa pracy w Stow. Ogrodniczem zapotrzebowanie na wykwalifikowane ogrodniczki jest stałe: do dużych zakładów ogrodniczych handlowych w pobliżu miast, do majątków ziemskich na stałe, bądź jako instruktorki objazdowe na okolicę, przez Izby Rolnicze na instruktorki, do szkolnictwa, jako nauczycielki ogrodnictwa w szkołach rolniczych, gospodarskich, prowadzących wykłady i praktycznie ogródki szkolne, działkowe i tp., następnie na stacje rolnicze doświadczalne, do prac naukowych w laboratorjach i do praktycznych na poletkach (np. próby z nowemi gatunkami, barwami roślin etc). Ogrodniczka otrzymuje zwykle całkowite utrzymanie i pensję od kilkudziesięciu do 100 zł. i wzwyż wzgl. procenty, djety, koszty na rozjazdy i t. p.

Prócz tego i w Warszawie i w większych i w mniejszych miastach są kursy ogrodnicze roczne, dwuletnie, 3-letnie, na których przechodzi się teorję ogrodnictwa w skróconem tempie, a główny nacisk kładzie się na jak najszerszą praktykę. Zamiłowana i wykwalifikowana ogrodniczka znajdzie dla siebie pole pracy. Mimo kryzysu sadownictwo w Polsce rozwija się coraz lepiej, przybywa coraz więcej własnych, małych i większych ogródków. Jednakże jeszcze ilościowo i jakościowo jesteśmy w tyle poza innemi krajami. W Polsce na 1 mieszkańca przypada pół drzewa owocowego, w Niemczech i Czechach 3—4 drzewa. Z tego widać, jak wiele mamy do zrobienia w tym szlachetnym zawodzie, do którego kobiety powinny garnąć się ze szczególnem zamiłowaniem i zrozumieniem.

*M. S. S.*

# Pokazowa hodowla roślin lekarskich.

W roku szkolnym 1934/35, w naszym ogródku uczenice kl. V i VI szkoły powszechnej S. S. Urszulanek w Lublinie, prócz współdziałania w ogólnych pracach ogrodu zakładowego (pielenie chwastów, zbieranie warzyw i t. p.), plantowały samodzielnie kilka roślin lekarskich dla celów pokazowych, a mianowicie: walerjanę (zastosowanie mają 2-u-letnie korzenie), szałwję (użyteczne są liście), piołun (liście i łodyga) i mydlik (korzenie 3—4-o-letnie (używane są zamiast »panamy«).

Jesienią 1934 r. uczenice kl. V w małem oknie inspektowem zasiały nasiona walerjany,



Ryc. 1.

na wiosnę 1935 r. walerjana wykiełkowała i przed wakacjami była rozsadzona na grządkach.

Walerjana jest rośliną dwuletnią, kwitnie więc w drugim roku po zasadzeniu.

Na załączonym rysunku Nr. I. grupa dziewcząt z kl. V. piele walerjanę, pięknie wyrosłą w oknie inspektowem. Rys. Nr. 2 przedstawia zbiór nasion walerjany, posadzonej w r. 1933.



Ryc. 2

Na rys. 3 dziewczęta z tejże klasy pielą walerjanę na grządkach, przyczem używane są nowoczesne wspólchniacze trójzębne, bardzo wygodne i użyteczne przy pracy w ogrodzie. Należy zaznaczyć, że dziewczęta pracują również siewnikiem i wypielaczem systemu »planet«, posiadającym ciekawe i nader praktyczne urządzenia, jako to: ramę z rączkami, osadzoną na kółku ruchomem, do której w miarę potrzeby przykręca się siewnik, łapy kultywatorowe, lub noże do pielenia, płużek lub obsypnik, co wszystko jest bardzo pożyteczne przy pracy w ogrodzie. Prócz walerjany, uczenice kl. VI wyhodowały z nasion szałwję, która zakwitła i wydała nasiona. Rozsady zaś piołunu i mydlika dostarczył nauczyciel przyrody. Tenże nauczyciel, będąc członkiem Komisji Współpracy w doświadczelnictwie przy Ministerstwie Rolnictwa, otrzymał od przewodniczącego Komisji prof. Kaznowskiego z Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach, nasiona rącznika lekarskiego (Ricinus), rośliny z ciepłych krajów — celem dokonania próby aklimatyzacyjnej na działce 50 m² w ogródku szkolnym.

Uczenice kl. V skopały tę działkę i zagrabiły, a uczenice kl. VI wysadziły około 100 gramów, nasion rącznika po 2 w dołkach, odległych po 50 cm. i w rzędach 1-o metrowych. Na początku czerwca rącznik poschodził i przed końcem lekcyj szkolnych został spielony przez uczenice tychże klas.



Ryc. 3.



Ryc. 4.

W dn. 20 lipca rośliny zaczęły kwitnąć, przyczem dochodziły do $2^1/_2$ m. wysokości (rycina 4). — Zbiór dojrzałych owoców został wykonany dn. 19 października 1936. Owoce wysuszono na strychu i wyłuskano z nich nasiona w ilości 3. kg. w tem 1600 gramów nasion wyborowych, a mniej dojrzałych 1400 gramów.

Nasiona po dokładnem wysuszeniu zostały przesłane do Departamentu Sanitarnego Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie do analizy, celem wykrycia, ile proc. oleju, jako użytecznego składnika (lekarstwo i smar), daje rącznik hodowlany w Polsce.

W ten sposób z naszą pracą w ogródku szkolnym została połączona praca naukowa, badawcza, mająca na celu aklimatyzację pożytecznej rośliny pozaeuropejskiej. Dla informacji należy nadmienić, że urodzaj rącznika wynosi wogóle 500 do 2000 kg. z hektara; na Kaukazie, gdzie go dużo uprawiają — 750 kg., a w Polsce od 1000 do 1800 kg. z hektara.

Plon z naszego ogródka w przeliczeniu na ha. dałby 600 kg.

*K. J.*

# Spółdzielczość.

Pierwsza niedziela czerwca jest świętem spółdzielczem. Sztandar Spółdzielczy-tęcza rozwinie swoje barwy, żeby natchnąć ludzi nadzieją lepszej przyszłości. Spółdzielczość za cel najbliższy stawia sobie poprawę materjalną swych członków przez zakładanie spółdzielni. Towar zanim dostanie się z fabryk do małych sklepików, przechodzi przez kilkanaście rąk pośredników. Każdy z nich do ceny sprzedaży wlicza cenę towaru, koszta związane z zakupem i transportem, oraz swój własny zysk. W ten sposób cena towaru wzrasta kilkakrotnie w stosunku do ceny fabrycznej. Cierpi na tem nabywca i to ten najbiedniejszy. Dlatego spółdzielnie powstają wśród warstw mniej zamożnych i niezamożnych. Pewna ilość ludzi zrzesza się w spółdzielnię spożywców, wpłacając udziały, często z trudem zaoszczędzone z niewielkich zarobków. Obecnie gdy spółdzielczość uczyniła wielki krok naprzód, a spółdzielni istnieje już sporo, zapisanie się do spółdzielni jest łatwiejsze. Udział w wysokości dwudziestu pięciu złotych wpłaca się ratami, złotówkę miesięcznie. Udział jest zwrotny, otrzymuje się go po wypisaniu ze spółdzielni.

W sklepie spółdzielczym towar jest dobry, waga uczciwa, ponieważ sami członkowie jako współwłaściciele nad tem czuwają. Każdy ma prawo na zebraniu członków wypowiedzieć się. Wspólnie też radzą nad rozwojem spółdzielni. Ważne to jest dla kobiet, które prowadząc gospodarstwa domowe, jako czynne członkinie spółdzielni, bez trudu mogą rodzaj, ilość i jakość towaru dostosować do swoich potrzeb. W ten sposób unikną często drobnych, ale jakże dokuczliwych niedogodności przy zakupach w sklepach prywatnych, gdzie jest mały wybór towaru, jakość nieodpowiednia, a nierzadko nieuczciwa waga. Ważna jest również kwestja ceny. Naogół ceny są takie same, jak w innych sklepach, łatwo jednak przekonać się, że towar jest o wiele lepszy. Oprócz tego przy rocznych obliczeniach ten zysk, który w sklepie prywatnym przypada sklepikarzowi, w spółdzielni zwraca się członkom. Im więcej ktoś zakupił towaru, tem więcej otrzymuje pieniędzy. Miła niespodzianka otrzymać rocznie kilkadziesiąt złotych.

Spółdzielnia spożywców (wlicza się tu wszelkie towary, a więc także ubrania, meble i t. p.) jest rodzajem spółdzielni najwięcej rozwiniętym. Istnieją spółdzielnie Społem, różne Spólnoty, Gospody Spółdzielcze. Spółdzielnie te posiadają swoje hurtownie, a nierzadko fabryki.

Po wsiach oprócz Spółdzielni spożywców, wielką przyszłość mają spółdzielnie zawiązywane dla zbytu pewnych towarów. Spółdzielnie mleczarskie dają możność otrzymywania stałego dochodu z obór, a przez to podniesienia ich poziomu. Istnieją również spółdzielnie jajczarskie, spółdzielnie dla

sprzedaży zboża, wspólnego zakupu narzędzi rolniczych i t. p. Banki i kasy spółdzielcze udzielają swym członkom pożyczek.

Człowiek pojedyńczy, walcząc z życiem, szamoce się beznadziejnie, chcąc zdobyć lepsze warunki dla siebie i swej rodziny. Gdy jednak tych jednostek zbierze się więcej, utworzą siłę, której łajwo będzie oprzeć się różnym przeciwnościom życiowym. Ciężko nieraz zaoszczędzony grosz, złożony do wspólnej kasy, tworzy sumę, za którą można założyć sklep, mleczarnię i t. p. dla uwolnienia się od wyzysku. W połowie ubiegłego stulecia w Anglji dwudziestu ośmiu biednych tkaczy w Rochdale, żyjących w nędzy doszło do przekonania, że tylko wspólnie potrafią się z nędzy wydobyć. Ze swoich głodowych zarobków odkładali tak niewielkie sumki, że dopiero po roku każdy z nich zdołał zebrać jeden funt sterling. Założyli malutki sklepik, gdzie były tylko najkonieczniejsze towary. Naszczęście idea solidarności przeniknęła do ich dusz, wierni byli swojemu małemu sklepikowi, zdobywali coraz nowych członków. Po dziesięciu latach istnienia, miała już założona przez nich spółdzielnia kilka filij, rzeźnię, pracownię szewską i krawiecką. Spółdzielczość szerzy się nietylko wśród dorosłych. Coraz częściej w gimnazjach i szkołach powszechnych powstają uczniowskie spółdzielnie. Zwykle zaczyna się od sklepiku. Za pieniądze otrzymane z udziałów zakupuje się przybory piśmienne. Jeśli jednak spółdzielnia rozwija się dobrze, powstają coraz nowe ogniska: bibljoteka, czytelnia, introligatornia, warsztat. Młodzież zapalona ideą zgodnej, solidarnej pracy, jest tą siłą, która kieruje rozwojem spółdzielni. Rozwój spółdzielni zależy bowiem od zespołu działających członków, ich wartości jako ludzi. Przez solidarne łączenie się, przez wyrzeczenie się choćby odrobiny egoizmu na rzecz wspólnego, zbiorowego wysiłku, dla wspólnego ułatwienia sobie życia, przyczynia się do podniesienia moralnego i etycznego.

Spółdzielczość, mająca za cel najbliższy poprawę materjalną swych członków, dalszym, szerszym celem sięga na wyżyny przebudowy świata w duchu sprawiedliwości, równości i solidarnej pracy. *J. B.*

## *Wezwanie spółdzielcze.*

*Podaj mi dłoń,*
*pójdziemy dalej razem.*
*Zetknęliśmy się dzisiaj na życia gościńcach.*
*Samotny jesteś?*
*Nie!*
*Już teraz nie będziesz nigdy sam!*
*Popatrz na naszą liczbę.*
*Idziemy naprzód rzeszą całą,*
*kto słaby, wesprze go ramię silnego.*
*Moc nasza płynie z braterskiego uścisku rąk.*
*Więc podaj mi dłoń,*
*pójdziemy dalej razem.*

*Jadwiga Bilwin*

# Władka.

Pani Miszczakowa po zaniesieniu mężowi obiadu zaczęła sprzątać w mieszkaniu. Chodząc po pokoju, ciągle obijała się omeble, gdyż pokój był przeładowany gratami. Łóżko, duża podwójna szafa z lustrem, zabytki z dawnych lat, rozkładana kanapa, pod oknem stół, etażerka z książkami Władki, piec kuchenny ukryty za kretonową firanką, szafka na naczynie i maszyna do szycia.

Mój Boże wszystko sama musi zrobić: prać, gotować, szyć sukienki dla siebie i Władki. Nie żeby za młodu była przyzwyczajona do czegoś lepszego, nie, pracę znała, ale już nieraz za ciężko na jej siły. Nigdy jednak sobie nie pofolguje. I teraz sprząta tak dokładnie, jakby jej mieszkanie miało służyć za wzór. Taka już jest. Nieraz Władka ją prosi, żeby dała spokój, przecież gdy wróci ze szkoły, może za matkę sprzątnąć. Ale nie, taki w niej głupi upór. Rozejrzała się po czystym pokoju. Słońce przez otwarte okno swobodnie wpadało, oświetlając doniczki

z kwiatami. Podniósłszy nieznacznie głowę, można było zobaczyć ponad kominami niebo. Jednak mieszkanie na czwartem piętrze ma swoje zalety. W klatce kanarek kąpiąc się, rozpryskiwał drobne kropelki wody na zielone liście roślin. Później zaniósł się od radosnego śpiewu. Popatrzyła na niego z uśmiechem.

— Temu to dobrze, o nic się nie troszczy.

Wróciła myślą do swego gospodarstwa. Obliczała, ile ją obiad dzisiaj kosztował. Do krupniku krupy, pół kilo mięsa. — Człowiek ciężko pracuje, jakże mu nie dać porządnie zjeść, — myślała o mężu. Kartofle miała z wczoraj. Tłuszcz, no i jeszcze ta sałata, może niepotrzebnie. Drogo! Jak ten grosz leci! A krupy, co kupiła, to jakieś stęchłe. Oburzyła się na sklepikarza, ale krupy wzięła. Czy miała lecieć do innego sklepu! Przecież po tych małych sklepikach jest wszędzie jednakowo. A możeby jednak zapisać się do spółdzielni, jak radzi Władka. Tam towar w dobrym gatunku, to jest pewne.

Władka! Oczy jej pobiegły ku dużej fotografji na ścianie. Czarne, bystre oczy, nos jak kartofel, określenie Władki, miły uśmiech i dwa ciemne, grube warkocze. Pani Miszczakowa wie, że Władka nie jest ładna, ale jest tak miła, że wszyscy ją muszą lubić. Warkocze dziewczynki to jej duma. Ma jednak jeszcze inne powody do dumy. Władka chodzi do gimnazjum i tak dobrze się uczy, że ma ulgi w opłatach. Ona, córka praczki, poduczyła się lepiej czytać dopiero po ślubie, a jej córka będzie już uczoną. Smarkula jest teraz w trzeciej klasie, a takie ma poważanie w tym ich związku spółdzielczym. Możeby jednak zapisać się do spółdzielni.

Wysunęła z kąta maszynę i zabrała się do wykończania płóciennej bluzki Władki.

Czas jej się dłużył, co chwilę spoglądała na zegarek. Dlaczego Władka nie wraca? Pewnie znów jakieś zebranie w gimnazjum. W pewnej chwili wychyliła się z trudem przez okno. Nareszcie idzie. Czem prędzej zapaliła maszynkę i postawiła na ogniu garnek z krupnikiem. Na stole rozesłała obrus i ustawiła dwa nakrycia. Do pokoju wbiegła Władka. Ucałowała serdecznie matkę, rzuciła z rozmachem teczkę z książkami na kanapę.

— Mamo, jeść, jestem głodna jak wilk. Wie mama, dzisiaj było walne zebranie członków naszej spółdzielni. Trwało półtorej godziny. Dlatego przyszłam tak późno.

Matka ponalewała zupę na talerze, ukroiła parę kawałków chleba.

— Siadaj, Władeczko, zjemy.

— Mamo, nie masz pojęcia, jak nasza spółdzielnia świetnie się rozwija. Mamy sklepik nietylko z przyborami szkolnemi, ale także z przyborami do szycia, w zimie łyżwy, narty i saneczki, w lecie piłki, balony.

— No i sprzedajecie to wszystko?

— Pewnie. Już wszystkie tak się przyzwyczaiły, że nie kupują gdzieindziej, i dobrze na tem wychodzą. Nasz towar jest pierwszorzędny, a zysk, któryby w sklepie prywatnym brał kupiec, przeznaczamy na cele społeczne. Bo mamie może się zdawać, że spółdzielnia, to tylko taki sklepik i nic więcej. Najważniejsze jest to wspólne łączenie się dla wzajemnej pomocy.

— Wiem, wiem, Władeczko, nieraz mi o tem mówiłaś. Jak ty to nazywasz?

— Ideą współdziałania, solidarności i braterstwa. Pojedyńczy człowiek i do tego biedny nic nie znaczy — mówiła dalej z powagą na swojej okrągłej buzi — ale gdy ich będzie więcej, to stworzą siłę.

— Naprzykład my uczenice. Co tam która miała trochę pieniędzy, to wyrzucała na lody, na cukierki. Ale jak powstał projekt założenia naszej szkolnej spółdzielni, zaczęłyśmy kupować trochę mniej słodyczy i mogłyśmy zebrać potrzebną sumę na udziały.

— Tyś chyba się nie przejadała słodyczami.

— Tak, ale zawsze od czasu do czasu dawaliście mi z ojcem po parę groszy. Sama z moich oszczędności wpłaciłam udział. Żeby mama wiedziała, że żadna z lepszych spółdzielczyń nie prosiła rodziców o pieniądze.

— I dużo was należy do spółdzielni?

— Teraz chyba wszystkie, ale na początku bardzo nas było mało. Ponieważ jednak sklepik był tylko dla spółdzielczyń, zapisywało się do spółdzielni coraz więcej dziewczynek, bo to przecież wygodnie mieć sklepik na miejscu.

— Pewnie, mieć blisko sklep z dobrym towarem! — westchnęła matka, podnosząc

się z krzesła. Zgasiła maszynkę i postawiła na stole mięso, kartofle i sałatę.

Władka zamyśliła się.

— Dużo zapisywało się dla wygody. Tyle jest u nas zapominalskich, przychodziły do szkoły bez zeszytu czy ołówka. Niektóre jednak po zapoznaniu się z ideą spółdzielczości stały się bardzo czynnemi członkiniami. Dzięki naszej wspólnej pracy mamy sklepik, bibljotekę, introligatornię.

— Książki oprawiacie?

— Tak, mamo. Przedewszystkiem książki bibljoteczne, ale nasza introligatornia przyjmuje także i robotę z zewnątrz, naturalnie pobiera opłatę.

— A pieniądze, co zniemi robicie?

— Przecież materjał introligatorski kosztuje. Nadwyżki zaś początkowo były przeznaczane na spłatę urządzeń introligatorskich. Na dzisiejszem zebraniu dowiedziałam się, że introligatornia nie ma już ani grosza długu.

— Teraz więc będziecie mogły oprawiać książki taniej.

— Nie. Zapadła dzisiaj uchwała, że oprawianie książek będzie w tej samej cenie, co dotychczas, a nadwyżki przeznacza się na pomoc dla najbiedniejszych uczenic.

— W jaki sposób? — zainteresowała się matka.

— Będą otrzymywały jakby stypendja na opłacenie szkoły.

— Czy muszą później zwrócić te pieniądze?

— Tak, ale będą miały wielkie ułatwienia. Przedewszystkiem mogą je zwrócić w formie swojej pracy: np. w introligatorni. Spłacanie stypendjum pieniądzmi zacznie się dopiero po paru latach, pewnie po ukończeniu gimnazjum.

— Ileż wy jednak możecie mieć na to pieniędzy? — powątpiewała matka w możliwość takiej pomocy.

— Narazie jest wogóle mały fundusz. Przecież dopiero dzisiaj zostało to uchwalone. Oprócz nadwyżki z introligatorni, na ten cel przeznacza się także część nadwyżki ze sklepiku. Niechby na początek jedna uczenica otrzymała pomoc. Czy to źle?

— A więc ty, córuchno?

— Tak, mamo. I ty nawet możesz mieć korzyść z naszej spółdzielni. Jeśli dostanę stypendjum, to już ja sama je spłacę, zobaczysz.

Władka wstała od stołu, matce nie dała się ruszyć, i śpiewając wesoło, żabrała się do zmywania naczynia.

— Ty, mamo, nie możesz się dać namówić do należenia do spółdzielni. A przecież udział wpłaca się ratami po jednym złotym miesięcznie. Czy to tak trudno wydać jeden złoty miesięcznie. Powiedz, mamo?

— Ja wiem, że jeden złoty miesięcznie można wydać. Czy człowiek nieraz nie wyrzuci pieniędzy na jakiś niepotrzebny wydatek.

— Tem bardziej, mamo, że to wcale nie jest wyrzucenie pieniędzy. Po dwóch latach wpłacania po jednym złotym miesięcznie jest mama pełnym udziałowcem z udziałem dwudziestu pięciu złotych, i gdy się mama wypisuje, to ten udział zwracają.

— Tak, ale jeśli zapiszę się do spółdzielni, trzeba będzie już tam brać towar, na kilka dni. Mama i tak wszystko bierze za gotówkę.

— Więc dobrze, Władziu, zapiszę się do spółdzielni.

— Naprawdę?

— Tak.

Władka zakręciła matką jak frygą, ucałowała kilkakrotnie i oszołomioną posadziła na kanapie.

— Mamo, jak ja się strasznie cieszę! Bo mama nie wie — mówiła z ożywieniem — że dzisiaj poruszyłyśmy na zebraniu sprawę naszych rodzin. Przyrzekłyśmy dołożyć wszelkich starań, żeby nasze matki należały do spółdzielni.

I znów grad pocałunków. Pani Miszczakowa rozczuliła się. Co tam złotówka miesięcznie i że trzeba będzie teraz dalej chodzić po zakupy, najważniejsza to ta radość sprawiona Władce.

— Zobaczy mama, że jeszcze mama będzie bardzo zadowolona z tego swego postanowienia. Skończą się narzekania na ciemną mąkę, niedobrą kaszę, nieświeże masło. A dywidenda z końcem roku. Ten zysk, który w prywatnym sklepie należy do kupca, zwrócą mamie. Im więcej się kupuje w sklepie, tem większy zwrot pieniędzy.

— Ileż tego może być na rok?

Czy ja wiem? Chyba z kilkadziesiąt złotych, jeśli mama będzie wszystko brała w spółdzielni.

— Aż tyle?

— Napewno. Już wiem, koniecznie wtedy mama kupi sobie materjał na suknię.

— Tak jeszcze do tego daleko, Władziu.

— Ale suknię będzie mama miała, chyba że się mama wogóle do spółdzielni nie zapisze — zaniepokoiła się Władka.

— Nie, dziecinko, ty mnie przecież znasz, gdy raz powiedziałam...

— Och, mamo, żeby tak więcej ludzi zainteresowało się spółdzielczością, zarazby lepiej było na świecie. Gdy dorosnę i będę już na posadzie, zapiszemy się do spółdzielni mieszkaniowej. I będziemy mieć tanie mieszkanko z ogródkiem.

Pani Miszczakowa przymknęła oczy. Przypomniała sobie ten szczęśliwy rok, gdy po urodzeniu Władki mieszkała na wsi. Westchnęła. Dla niej największem szczęściem byłby własny, mały domek z ogródkiem.

— Daj Boże, Władziu, żebyśmy z ojcem na starość mieli swój własny domek. Tak często opowiadasz mi o swojej spółdzielni szkolnej i o waszej pracy, że zaczynam wierzyć w lepszą przyszłość. Żeby tylko ludzie zechcieli razem działać.

— My to zrobimy, mamo, zobaczysz bo »Myśmy przyszłością narodu« zanuciła Władka.

*Jadwiga Bilwin.*

# Polskie jedwabnictwo.

Nawet, gdybyśmy się wyrzekli jedwabiu na ubrania i galanterję, to i tak nie możnaby się bez niego obejść, bo jest potrzebny dla przemysłu elektrycznego i wojennego.

Jedwabnictwo w Polsce jest najmłodszą gałęzią rolnictwa i, jak dotąd rozwija się świetnie. Zapoczątkowanie tej nowej gałęzi wytwórczości polskiej należy zawdzięczać rodzeństwu Witaczkom.

Stanisława Witaczkówna i brat jej Henryk w roku 1924 zaczęli nad tem pracować — co dotąd zrobili, jest naprawdę imponujące. Otóż tych dwoje, bez niczyjej pomocy, zaczęło nietylko propagować ideę jedwabnictwa w Polsce, ale zorganizowali w Milanówku pod Warszawą Centralną Doświadczalną Stację Jedwabniczą. Stacja ta prowadzi doświadczenia z hodowlą morwy i jedwabnika, udziela wszelkich porad w tej dziedzinie, urządza rok rocznie kursy dla tych, którzy się chcą jedwabnictwu poświęcić, wydaje książki.

— No dobrze! — zapyta w tem miejscu niejedna czytelniczka — ale czy jedwabnictwo ma u nas przyszłość ze względu na klimat? — Jedwabnictwo ma u nas wielką przyszłość, bo morwa rośnie doskonale na całym obszarze naszego kraju. Najlepszym tego dowodem jest owe 300.000 drzew morwowych, rozsianych po całej Polsce, które zostały zasadzone koło 1870 roku. Drzewa te wytrzymały zwycięsko zimę 1928/29, kiedy to tak dużo drzew w naszych sadach i lasach ucierpiało.

Wszędzie, nawet w Chinach jedwabniki hoduje się w pomieszczeniach ogrzewanych i gąsienice karmi się zrywanemi liśćmi morwy.

T. zw. dzika hodowla gąsienic jedwabnika, wprost na morwie już dawno została na całym świecie zarzucona.

Ponieważ więc morwa u nas doskonale rośnie, nic nie staje na przeszkodzie, aby w najbliższym czasie suma 50 miljonów złotych, które rok rocznie wędrują za jedwab do obcych, całkowicie dostała się do rąk polskiego hodowcy, robotnika i kupca.

Znaczenie jedwabnictwa dla kraju jest olbrzymie. Jedwab, jako tkanina jest niezastąpiony, dzięki nadzwyczajnej trwałości i temu, że przepuszcza tak cenne dla organizmu ludzkiego promienie ultrafioletowe. Samowystarczalność pod względem jedwabiu jest bardzo ważna na wypadek wojny. Prawdziwy jedwab jest bowiem niezbędny do wyrobu amunicji, na woreczki prochowe, do wyrobu spadochronów rakietowych i samolotowych, do wyrobu masek przeciwgazowych i t. p.

Zarówno sama hodowla jedwabnika, jak

i cały jego przerób, wymagają wielkich ilości rąk roboczych, co dziś, gdy zagadnienie bezrobocia jest specjalnie palące, ma również olbrzymie znaczenie.

Hodowlę jedwabników mogą prowadzić nietylko rolnicy, ale wogóle wszyscy, którzy mogą dostać liści morwowych i mają miejsce na ustawienie etażerki z półkami, na których umieścimy gąsienice.

Cały okres hodowli trwa 6 tygodni, od pierwszych dni maja, do końca czerwca. Hodowanie gąsiennic jest pracą lekką, którą mogą wykonywać zarówno bardzo starzy, tak i bardzo młodzi.

Owoce pracy Stacji w Milanówku przedstawiają się imponująco, np. gdy w 1924 r. było tylko 5 hodowców, w 1925 r. — 48, w 1926 — 96, w 1927 — 284, 1928 — 360, to w 1933 r. już prawie 800, a w 1934 — 1200. Hodowcy ci wyprodukowali tyle oprzędów, że te po przerobieniu ich w warsztatach Stacji w Milanówku, dały prawie 100.000 m. tkaniny czysto jedwabnej. Właściwy rozwój jedwabnictwa zaczął się jednak dopiero wtedy, gdy dorosły te drzewka, które zostały wysadzone od roku 1924, t. zn. w chwili, gdy dzięki pp. Witaczkom jedwabnictwo nasze weszło na właściwe tory.

Od tego czasu wysadza się rok rocznie setki tysięcy drzewek morwowych i około 2 miljonów sadzonek żywopłotowych. Dość powiedzieć, że w samej Małopolsce jest 14 tys. szkółek morwowych.

Czynniki rządzące, w miarę swojej możności, popierają jedwabnictwo.

Tak np. wydziały drogowe obsadzają drogi drzewami morwowemi, podobnie jak i Min. Komunikacji poleciło do obsadzenia plantów kolejowych wyłącznie drzewa morwowe. Wydziały powiatowe prowadzą setki szkółek tych drzew.

Korpus ochrony pogranicza wysadza morwy wszędzie, gdzie może i prowadzi dla swoich ludzi kursy hodowli jedwabnika.

Wydział Więziennictwa Min. Sprawiedliwości interesuje się również tą sprawą. — We wszystkich prowincjonalnych więzieniach ma być zaprowadzona hodowla jedwabników, a dozorcy przechodzą przeszkolenie w tej dziedzinie na specjalnie dla nich zorganizowanych kursach.

Również zainteresowało się jedwabnictwem Min. Pracy i Opieki Społecznej. Hodowle jedwabników są prowadzone przez zakłady opiekuńcze na całym terenie Rzplitej. Akcja ta została zapoczątkowana już w r. 1930.

Idea hodowli jedwabników nie jest zresztą nowa. Już przeszło 80 lat temu istniało u nas »Towarzystwo Jedwabnicze«, które tę hodowlę propagowało. Niestety, ludzie ci nie stanęli na wysokości zadania i zlekceważyli zaraźliwą chorobę gąsienic, która w tym czasie wybuchła.

Wielką przeszkodą w rozwoju jedwabnictwa były trudności, jakie czyniły rządy zaborcze każdej nowej myśli, która wprowadzona w czyn, mogła bogactwo Polski pomnożyć.

Wielkim propagatorem jedwabnictwa był Henryk Sienkiewicz, który pisał (Chwila Obecna) »Sadźcie morwy, hodujcie jedwabniki, jedwabnictwo może przynieść krajowi miljony«.

Kto sadzi jedno drzewo morwowe, ten rzuca garść złota do krajowego skarbu.

*X.*

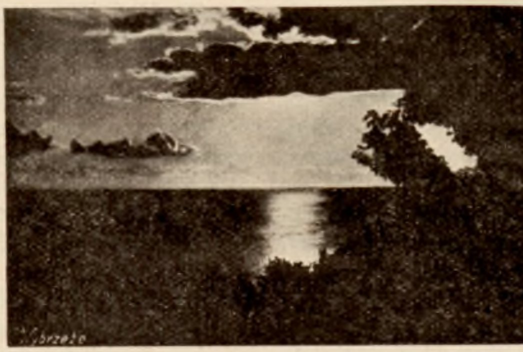
# Urywek z listu J. Z.

Nareszcie spełnienie długo oczekiwanych marzeń — jadę do Ameryki południowej na statku »PUŁASKI«, świeżo odnowionym i przystosowanym do dalekobieżnych kursów. Za współlokatora w luksusowej kabinie I. kl. mam korespondenta P A T-a i Kurjera Warszawskiego p. P. Bardzo miły pan w sile wieku, cieszy się razem ze mną tą podróżą i zażywa w pełni morskich wrażeń.

Pierwsze chwile minęły szybko na rozpakowywaniu się i poznawaniu statku. Wieczorem wzmaga się boczna fala i zaczyna silnie bujać statkiem. Wśród pasażerów niepokój; ja po napisaniu listu idę spać i choć dawno, bo 38 lat temu kołysano mnie do snu, szybko zasypiam. Widocznie nie odzwyczaiłem się od kołysania.

Budzę się rano i wpadam w dziwnie szkolny nastrój. Wszędzie gdzie spojrzeć, dzieci — od niemowląt na ręku poczynając.

Jest ich około 280. Wszystko dzieci emigrantów. Zbliżam się do grupy chłopców, pilnie wypatrujących w morzu wieloryba, o którym ktoś im wieczorem opowiadał. »Przed ukazaniem się wieloryba, daje się zauważyć najpierw tryskającą fontannę wody — zauważa mały Józek Zięba, uczeń V oddziału szkoły pow. z kieleckiego. Ojciec jego już jest w Ameryce i przysłał »Szifkartę«, więc »sprzedalim naszą morgę ziemi za 1.400 zł. i razem z bratem i mamą jedziem do Argentyny« — opowiada Józek.



Zachęceni rezolutnemi odpowiedziami kolegi, inni chłopcy przyłączają się do pogawędki. Z kolei zabiera głos syn gajowego z Pustomyt z Wołynia. Urodził się on w Argentynie na emigracji, wrócił z ojcem do kraju i po kilku latach znowu jedzie szukać chleba na dalekiej obczyźnie. »O! ojciec idą, to wszystko powiedzą«. Zbliża się wysoki, przystojny mężczyzna, prowadząc za rękę dwie śliczne, czyściutkie dziewuszki pozawijane w chustki: pięcioletnią Ligję i sześcioletnią Antolkę. Dziewczynki odpowiadały na pytania czystym polskim językiem. Ojciec ich gospodarował na 25 ha wej działce w Misionej. Uprawiał herbę — jest to rodzaj herbaty, używanej przez miejscową ludność — i kukurydzę dla inwentarza domowego. Gospodarka nie jest trudną, zaczyna się od wycięcia chaszczy, którą spala się na miejscu. W pierwszym roku uprawia się kukurydzę bez orania. Na tej gospodarce zarabiał 700 zł. rocznie. Dalej spotykam rodzinę Ukraińców, których jest bardzo duży procent. Rodzina składa się z pary małżeńskiej i trojga maleńkich dzieci. Na moją uwagę dlaczego z takim drobiazgiem wybrali się w podróż, odpowiada ojciec: »Szczo pane czekaty, a boż to nowi ni budut?«.

Wtem z drugiego końca statku dochodzi nas śpiew ukraiński, ślicznie zharmonizowane, silne, młode głosy przygodnego zespołu. Z kabin wychylają się uśmiechnięte główki pięknych pań, gromadzą się emigranci — śpiewaków ciągle przybywa i tworzy się samorzutnie wielogłosowy chór. Ku wielkiemu zdumieniu zasłuchanych pasażerów, chór potężnieje, wzbogacany coraz to nowemi warjantami. Stara ukraińska piosenka rozbrzmiewa daleko na tle czystego powietrza morskiego:

Hej tam na hori, tam żeńsci żnut'...



Dakar 10. III. 1936
Pogawędka z murzynami.



Dakar 10. II. 1936.
Kupuję banany na targu murzyńskim.

# Ludzie wodnego szlaku.

Ludzie, o których mówi tytuł, to nie jacyś bohaterowie powieści o przygodach i awanturach na dalekich morzach. To nie postacie z Londona czy Umińskiego. To młodzież szkolna, zrzeszona w wielkiej organizacji Kół szkolnych Ligi Morskiej i Kolonjalnej.

Człowiekiem wody — może stać się każdy uczeń, czy uczenica, będąc w swej szkole, na swoim terenie. Nie musi nawet wyjeżdżać nad morze, aby z wodą się znać i być z nią za pan brat.

Każda woda, którą spotykamy w swoich wędrówkach przez wieś czy miasto — ma w sobie jakiś mrok, coś co nas przyciąga. Czy będzie to mała struga, czy Wisła; błyszcząca toń jeziora, zamknięta zieloną oprawą lasu, czy bezmiar morza, stykający się na horyzoncie z bezmiarem nieba; czasem może to być nawet staw w parku miejskim, lub sadzawka w ogrodzie.

Każda z tych wód jest czemś niezwykle ciekawem, żywem, nowem. Jej głębia jest pełna tajemnic, a płytkość pozwala oglądać to, co się dzieje na dnie. Czasem jest cicha, gładka jak lustro, spokojna i leniwa, ogarniamy wzrokiem jej granice, jest czemś skończonem i zamkniętem.

Czasem widzimy tylko jej drobny odcinek. Płynie skądś i dokądś, lub rozciąga się niezmierzonym obszarem w dal, która wywołuje w naszej wyobraźni wizje nieznanych krajów i ludzi.

Ma ona wielki, niezmiernie ciekawy wpływ na ludzi, którzy mają z nią związek. Jej bliskość kształtuje pewien specjalny typ charakteru jednostek i całych plemion, czy narodów. Woda to żywioł zarazem dobrotliwy i straszny. Ciekawem jest ją obserwować jak żyje, jakie ma nastroje i humory, jak jest zmienna i fantastyczna, choć niby zawsze ta sama. Czasem spokojna, niosąca na swych falach ludzi i towary, kiedyindziej śpiąca pod lodem, innym razem okropna, dzika, wezbrana podczas powodzi.

A wreszcie każda woda pachnie »przygodą«, nieznanem, cudownem wydarzeniem, które nas czeka i woła z szybkiego nurtu wodnego, biegnącego w dal.

Tak łatwa jest droga do tego, aby woda przestała być dla nas czemś dalekiem i obcem, a stała się znaną i bliską. Zgłębimy wszelkie jej tajniki, poznamy właściwości, będzie ona naszą dobrą przyjaciółką, której z zaufaniem powierzymy naszą łódź.

Poprostu ze »szczurów lądowych« przemienimy się w »stare wilki morskie«, które lepiej się czują na wodzie, niż na ziemi.

O zainteresowaniu młodzieży sprawami wodnemi, a specjalnie morskiemi i kolonjalnemi, świadczy liczba członków szkolnej L.M.K. W chwili obecnej jest w Polsce blisko 2 tysiące kół grupujących 115.000 członków.

Szkolnictwo powszechne obejmuje: 1477 kół — i 70 tys. członków, podczas gdy średnie (gimnazja, zawodowe, seminarja) tylko 505 kół — 45 tys. członków. Ta poważna, jak widać, organizacja postawiła sobie duże i pożyteczne cele, kładąc specjalny nacisk na poznanie przez członków Morza i Pomorza pod względem historycznym, geograficznym, biologicznym, kulturalnym, ekonomicznym oraz zrozumienie jego znaczenia dla Polski.

Praca prowadzona w ramach kół szkolnych L. M. K., daje do tego rozliczne możliwości.

Program jej przewiduje wychowanie wodne i lądowe.

Pierwszym etapem (szkoła powszechna) jest obserwacja najbliższej wody w okolicy, obejmująca jej charakter, znaczenie, znajomość flory i fauny w niej żyjącej, zapoznawanie się z nazwami łodzi, sposobami rybołostwa i t. p. Równolegle z tem porusza się nauka pływania, różnym stylem, na coraz to dłuższe dystanse.

Początkiem pracy w szkole średniej — są pierwsze wyprawy na wodę, początkowo łodzią, potem żaglówką, lub kajakiem żaglowym. Ten dział zajęć jest niezwykle ważny i posiada wielkie znaczenie dla wyrobienia, nietylko pod względem fizycznym, ale i duchowym.

Pływanie w załodze wymaga wielkiego zgrania, posłuszeństwa rozkazom sternika, sprawności i zręczności. Równocześnie czło-

nek załogi uczy się postępowania z łodzią, umie ją już zreperować, wie jak należy ratować tonącego z łodzi, staje się coraz uważniejszy, nabiera szybkiej orjentacji i umie sobie poradzić w trudniejszych wypadkach.

Potem zaczynają się dłuższe wycieczki żaglówką, nad które chyba niema przyjemniejszych, zostawiające niezapomniane wrażenia, budowa łodzi we własnych warsztatach, a często i poważna, zorganizowana pomoc w razie powodzi: ratowanie zalanych, regulacja rzeki. I tu uwydatnia się ogromna, rzetelna wartość społeczna i obywatelska pracy w szkolnej L. M. K., która daje państwu zastępy świadomej swych sił i umiejętności młodzieży. Gdzie niema odpowiednich warunków do uprawiania żeglarstwa — tam przerabia się kurs wyszkolenia kajakowego, dostępny jednak dopiero dla młodzieży od lat 16-tu.

Wychowanie wodne stanowi tylko część pracy L. M. K., mającej na celu wyrobienie członków.

Zajęcia lądowe stanowią niemniej ważny odcinek działalności. Zajmują one przeważnie okres zimowy, a polegają na pogłębianiu wiadomości członków o morzu i Pomorzu, oraz na propagandzie i szerzeniu idei morskiej i kolonjalnej wśród społeczeństwa. We wszystkich kołach wre wówczas wytężona praca wewnętrzna i nazewnątrz.

Na zebraniach opracowuje się referaty: wojny morskie, budowa okrętów, kultura Kaszubów, zabytki ziemi pomorskiej, historja morza polskiego i jego znaczenie dla naszego kraju. O materjały nietrudno, każde koło bowiem, posiada dobrze zaopatrzoną bibljoteczkę wydaw. L. M. K., pozatem zaś każdy członek za swoją składkę miesięczną (10 gr.) dostaje numer pisma szkolnej L.M.K. p. t. »Polska na morzu«, barwnie ilustrowanego, z ciekawemi artykułami i kroniką Kół z całej Polski. Wiadomości teoretyczne są natychmiast wprowadzone w czyn.

Więc w kołach kwitnie modelarstwo okrętów, łodzi, niejednokrotnie uczniowie sami budują kajaki dla wypraw letnich, prowadzi się korespondencję ze szkołami z Pomorza, aby lepiej poznać tamtejsze życie i zwyczaje. Kompletuje się zbiory pocztówek morza dotyczących. A ile jest roboty na terenie szkoły, nierzadko zaś i innych szkół, które jeszcze nie mają Koła L. M. K. Urządza się więc wystawy morskie: wykresy, fotografje, własne rysunki, modele statków. Co tydzień przygotować trzeba nowy tekst do ściennej gazetki L. M. K., a cóż dopiero gdy zbliża się 10. II., rocznica odzyskania morza, kiedy każde koło uważa za punkt honoru zorganizować uroczysty obchód. Piosenki, inscenizacje, deklamacja, przemówienia, składają się niejednokrotnie na śliczną i barwną całość. Często obchód taki urządza koło dla całego miasta, lub wsi, łącząc go zwykle ze zbiórką na F.O.M. (Fundusz obrony morskiej).

Koła propagują również ideę własnych kolonij. To zwraca ich uwagę na zagadnienie emigracji, jedno z ciekawszych w dzisiejszem życiu Polski, którem interesują się również praktycznie nawiązując korespondencję ze szkołami wychodźczemi zagranicą. Posyłają więc do Stanów Zjednoczonych, do Brazylji książki, albumy, płyty gramofonowe z polskiemi piosenkami, przyczyniając się niemało do utrzymania polskości emigrantów.

Również i marynarze polscy otrzymują dowody pamięci ze strony Kół, które przesyłają im »gwiazdkę« na Święta Bożego Narodzenia.

A z wiosną Zarząd Koła znowu musi myśleć o różnych imprezach wycieczkowych i sportowych. Czy to będą zawody międzyszkolne o pierwsze miejsce w sprawności wodnej, czy zorganizowanie wyprawy kajakami, lub statkiem do morza, czy też przygotowania do wzięcia udziału w jednym z letnich obozów L. M. K., nad jeziorem Narocz, lub Żarnowieckiem. Wybór jest duży, ułatwienia wszelkie (zniżki, ulgi) ze strony Zarządu Gł., nie jest też wcale utopją marzenie o wycieczce zagranicznej morskiej. W tym roku np. L. M. K. organizuje dwie wycieczki do Szwecji, Finlandji, Łotwy i Estonji na m/s. Piłsudski i na »Kościuszce«.

Takie wakacje, spędzone na wodzie i słońcu, w ścisłej łączności z przepiękną naturą, w atmosferze serdecznej koleżeńskiej przyjaźni i zdrowego współzawodnictwa, są jedną z nienajmniejszych przyczyn tężyzny fizycznej i moralnej młodego pokolenia naszego narodu.

*H. Jankowska*

# *Poranek na wsi.*



Wiosna.

*Przyleciał wiatr z modrej dalekości,*
*miękkiemi dłońmi*
*gładzi rozwichrzone głowy sosen,*
*że zaszemrały w szczęsnem upojeniu.*
*Dzień jasnem słońcem*
*zagląda w prostokąty niskich okien,*
*rzeźwem powietrzem wabi za próg chaty.*
*Trysła wgórę struga lśniących w słońcu ptaków,*
*rozsypała się w pętle, koła, znaki zapytania*
*i znikła w modrej dalekości nieba.*
*To gołębie!*
*Chaty zbudzone ze snu zaczynają gadać,*
*kitami dymu dają sobie znaki,*
*śmieją się lśnieniem swoich drobnych szyb.*
*— Praca i trud, praca i trud — terkoce*
*zapatrzony w wodę stary młyn.*
*A wiatr miękkiemi dłońmi*
*gładzi rozwichrzone głowy sosen.*

*Jadwiga Bilwin.*

# Tu zostanę.

Andrzej ze złością rzucił list kolegi na stół. Tamtemu się udało, a dla niego niema posady w szpitalu. Żeby tak jak Ryszard pracować w szpitalu, zarabiać nieźle i mieć rozległą praktykę. Ryszard zawsze miał szczęście. A teraz jeszcze... No tak. Można się było tego spodziewać. Panna Lodzia zawsze wyróżniała tego wesołka z jasną twarzą.

Chmurny spojrzał przez otwarte okno na ulicę. Po rzadkiem, przelewającem się błocie długim sznurem ciągnęły furmanki. Od kilku dni z nieba lały się potoki deszczu, tego dnia jednak nad ranem chmury rozpełzły się stronami, a młode słońce z uśmiechem przeglądało się w przydrożnych kałużach i mrużyło złośliwie oczy na widok zaszarganych spódnic i oblepionych gliną buciorów. Z niedalekiego placu targowego dochodził gwar, krzyki, kłótnie, kwik prosiąt.

— Dzisiaj targ. Uf, taka żydowska brudna dziura!

Wyszedł przez mały ganeczek do ogrodu. Siedząc w altance, zaczął błądzić oczami po ścieżkach, rabatach i drzewach. Ogród był duży. Koło domu pełno klombików, rabatek, kwiatów i krzewów. Dalej młody sad, aleje porzeczkowe i agrestowe, pod płotem maliny, a z prawej strony ogród warzywny. Chmurna twarz mężczyzny rozpogodziła się trochę. — Że też Jance chce się tyle pracy wkładać w ten ogród — roześmiał się. — Ona o mnie mogłaby to samo powiedzieć.

Wysoki w białym fartuchu lekarskim, zaczął przechadzać się pomiędzy drzewkami. Oczy uważnie badały drobniutkie, ledwo uformowane owoce, wypatrywały, czy przypadkiem nie zalągł się gdzie jaki szkodnik.

— Ile to lat minęło, jak zdałem maturę? Dwanaście.

Przypomniał sobie tę chwilę, kiedy młodzieńczy, radosny wyjeżdżał na studja do Lwowa. Marzyła mu się sława, bogactwo... Ojciec staruszek z uśmiechem pobłażliwym słuchał jego projektów. Na chwilę rozgorzały ojcu oczy gniewem, gdy on Andrzej wspomniał o sprzedaniu domu.

— Ani mi się waż! Zresztą dom nie twój będzie tylko Janki. Ty dostaniesz trochę grosza na kształcenie, a to będzie jej posag. Prawda, córuchno? — Uśmięchnęła się tak smutno. Po śmierci swego Antka nie chciała już zamąż wychodzić.

Dwie małe rączki uchwyciły z tyłu fartuch Andrzeja.

— Zgadnij kto, ale nie patś, nie patś.

Zaczął codzienną zabawę. Wymieniał różne imiona, mruczał do siebie jakieś domysły, a dziecko za nim zanosiło się coraz głośniejszym, coraz rodośniejszym śmiechem, a wśród śmiechu wykrzykiwało: a nie, nie Jadzia, nie Irka! Nie wiś, naprawdę nie wiś?

Nibyto zamyślił się głęboko, a potem krzyknął głośno, jakby olśniony tą myślą.

— Aha, już wiem, to Bolek!

W odpowiedzi dziecko zaniosło się takim śmiechem, że aż przysiadło na wilgotnej ścieżce. Andrzej odwrócił się i tłumiąc śmiech, udał zdziwienie, że to nie Bolek, tylko właśnie Misia.

— Misia, Misia, Misia! — wznosił się głosik dziecięcy coraz wyżej.

— Pójdziemy, Misiu, muszę zobaczyć twoje oczy.

To już była mniej przyjemna część programu. Dziecko niechętnie pozwoliło się wziąć za rękę i poprowadzić do domu. Mimo silnego protestu odwrócił małej powieki i wpuścił zakraplaczem lekarstwo. Dziewczynka piszczała, bo lekarstwo trochę piekło, ale już niecierpliwa biegła do białej szafki. Andrzej wyjął z papierowej torby duży cukierek. Wzięła go z niedowierzaniem, pytająco patrząc w twarz doktora.

— A drugi?

— Poco ci drugi?

— A mówiłeś, zie dwa, bo mam dwa — pokazała na oczy.

— Ach prawda! Zapomniałem, że ty masz jeszcze jedno oczko.

Drugi cukierek znałazł się w buzi dziecka.

Po wyjściu dziewczynki zabrał się Andrzej do porządków w szafce. Gdy ruch na targu zmaleje, zaczną się do niego schodzić po porady. Wśród tej krzątaniny pomyślał nagle, że chciałby mieć takie swoje małe dziecko, taką małą Misię.

— Jędruś, żeń się, Jędruś! — usłyszał już w myślach częstą prośbę siostry. Z licznego rodzeństwa zostało tylko ich dwoje: najstarsza i najmłodszy. Janka starsza od niego o piętnaście lat, niewiele spodziewała się od życia. Praca w szkole pochłaniała ją zupełnie. Marzyła jednak o tem, żeby w domu mieć gromadkę bratanków.

— Wiesz, Janko, trzeba będzie nareszcie pomyśleć o małżeństwie — powiedział w myśli do nieobecnej siostry. Może wtedy zapomni o swojej zmarnowanej karjerze. Karjera? Sława i bogactwo. Ale czy to dałoby mu szczęście?

Dalsze rozmyślania przerwało wejście pacjenta. Po pierwszym zjawił się drugi, później trzeci i czwarty, w poczekalni było już pełno. Sama wiejska biedota, najczęściej matki z choremi dziećmi. Cierpliwie wysłuchiwał długich, jękliwych opowiadań, opatrywał zaropiałe rany, przemywał oczy, pisał recepty. Za porady brał mało, często też dawał jeszcze do domu lekarstwo. Mimo to zawsze uczuwał wstyd, gdy brał od tych biednych ludzi pieniądze. Coż robić, kiedy i lekarz musi żyć.

Pracę przerwał mu krzyk przed domem. Przez okno ujrzał tłum ludzi, przeważnie Żydów. Kobiety zawodziły głośno, jedna z nich niosła na ręku płaczącego chłopca.

— Aj, nieszczęście, nieszczęście! Pan doktor! Takie straszne nieszczęście!

Wybiegł do poczekalni i dowiedział się, że mały Aronek podczas zabawy upadł i złamał rękę. Matka z krzykiem opowiadała mu o tem.

— Niech się pani uspokoi. Chłopcu rękę złożymy, do dwóch tygodni kość mu się zrośnie i będzie po wszystkiem.

Oczy starych i młodych Żydów wpatrzone były w niego z natężeniem. Gdy skończył mówić, zaczęli między sobą szwargotać. Potem jeden z nich wysunął się naprzód i zapytał, co będzie kosztowało leczenie. Andrzej szorstko odpowiedział, że najpierw trzeba dziecku rękę złożyć, a potem pomówią o zapłacie. Znają go chyba i wiedzą, że nie bierze nigdy za dużo.

— Tak, tak! — kiwali głowami. Znali dobrze swojego doktora.

Andrzej przygotował wszystko do zabiegu: opaski z gipsem, watę, wodę w miednicy.

Potem przywołał do pomocy Agnieszkę. Służąca Agnieszka, w starszym już wieku, często była przez niego wzywana. To podnosiło ją w oczach jej znajomych i było powodem, że i jej porady lekarskie cieszyły się powodzeniem. Teraz przybiegła skwapliwie, wzięła płaczącego chłopca z rąk matki, bezceremonjalnie wyprosiła całą jego rodzinę z domu, pozwalając w poczekalni zostać tylko matce.

Mały Aronek podczas składania ręki krzyczał przeraźliwie, później gdy pierwsza warstwa gipsu zaczęła twardnieć na ręce, uspokoił się, z ciekawością patrząc na sprawne ruchy doktora. Zabieg był skończony. Andrzej w swojej szafce wyszukał trójkątny kawał płótna i zawiesił dziecku zagipsowaną rękę na temblaku, a do ust wsunął duży cukierek pocieszenia. Aronek podreptał do matki, patrząc ze zdziwieniem na swoją ciężką rękę.

Po licznych zapytaniach, podziękowaniach, błogosławieństwach odeszła Aronkowa rodzina. Andrzej patrząc, jak odchodzą, poznał nieomylnie, że jego miejsce jest właśnie tu, w tem małem miasteczku«, »w tej brudnej, żydowskiej dziurze«, wśród małomiasteczkowej i wiejskiej biedoty.

— Cóżby oni robili ze swoją nędzą, cierpieniem i chorobami, gdyby wśród nich nie było jakiegoś lekarza. Nie, gdyby wśród nich nie było właśnie jego.

— Jędruś, — dla Janki był zawsze małym Jędrusiem — taki jesteś dzisiaj pogodny. Agnieszka mówiła, że otrzymałeś list. Czy dobrze stoi sprawa z posadą w szpitalu? — twarz jej posmutniała.

— Ach nie! Naszczęście z posady nic! Zdziwiła się.

— Masz już inne plany?

— Tak. Zostanę tu, bo tu jest moje miejsce, a dotychczas byłem idjotą.

Zamrugała w zdziwieniu oczami, ale widząc, że jej Jędruś mówi poważnie, rozjaśniła się cała od wewnętrznej radości.

*Jadwiga Bilwin.*

# Polski Pałac Techniki.

Znać sprawę z całokształtu wrażeń, jakich dostarcza Polskie Muzeum Przemysłu i Techniki — to zamierzenie, wymagające obszerniejszego wręcz studjum. Ograniczę się tedy do migawkowej tylko relacji.

Muzeum przypuszcza dobrze przemyślany atak na przybysza już od chwili, gdy ten znajdzie się zaledwie na pierwszym stopniu klatki schodowej, biegnącej kilku piętrami wewnątrz gmachu.

Na półpiętrze eksponat o ciekawej wymowie: pień dębu, liczącego 120 lat. Słoje koliście biegnące wokół rdzenia — to metryka drzewa. Uczono nas tego w szkole. Im dalej położony od rdzenia słój — tem starszy. W niektóre zaś słoje tego pnia dębowego wetknięte są chorągiewki biało-czerwone, a od nich biegną wstęgi z napisami.

Oto słój z roku 1815-go. Napis: Kongres Wiedeński. Słój z r. 1830; powstanie listopadowe... 1848; Wiosna ludów... 1863 — powstanie styczniowe... 1883 — skroplenie tlenu przez prof. Olszewskiego i Wróblewskiego... 1898 — odkrycie radu przez Curie-Skłodowską... 1914 — wybuch wojny... 1918 — odzyskanie niepodległości... 1932 — zwycięstwo Żwirki.

Tyle przeżył ten niepozorny pień 120-letniego dębu. Muzeum poluje zaś obecnie na drzewo przeszło 1.000-letnie. Pierwsze jego słoje zahaczyłyby o historję Polski z czasów Mieszka 1-go.

Zwykło się mówić: głuchy jak pień. Czy nie raczej — wymowny... jak pień.

Imponuje wręcz swą precyzją minjaturowa fabryka zapałek. Włączamy prąd — i maszyny są w ruchu.

Obrotem kół, posuwem wałów, biegiem transmisji zaczyna się proces produkcji prawdziwych zapałek. Prawdziwych, ale minjaturowych, jak z bajki — dla karzełków: drewienka wytworzone tu z osiki, mają kilka milimetrów długości, wyglądają jak opiłki czy trociny, tylko — że foremne. Pudełka zaś zapałczane, zabawne swą minjaturowością, również mają milimetrowe wymiary.

Piekarstwo. Najprymitywniejsze piece — przedhistoryczny, rzymski, odkopany w Pompei — sąsiadują z najnowocześniejszą piekarnią mechaniczną. Dystans większy od tego, jaki dzieli okulary od teleskopu obserwatorjum Wilsona.

Natomiast — kształt i wygląd bochenka chleba nie uległy na przestrzeni dziejów żadnym niemal zmianom: okrągły, spłaszczony bochenek, z wykopalisk Pompei — niewiele różni się od dzisiejszego.

Wymownym przyczynkiem do rozwoju radja, który nastąpił w zawrotnem tempie, jest detektor-olbrzym. Pochodzi on z przed kilkunastu zaledwie lat i ma wymiary: 1 metr x 80 cm. x 60 cm. Obok zaś stoi dzisiejszy aparat detektorowy, pudełko liczące 12 cm. x 20 x 5 cm. A ile w tamtym gigancie detektorowym, wzbudzającym w widzu uśmiech i... politowanie, przebiega rurek, przewodów, skomplikowanych połączeń...

Z dziejów oświetlenia wystawione są dwa szczególnie ciekawe eksponaty. Rozwój oświetlenia w warszawskiej operze: od świec, poprzez lampki olejne, naftę do elektryczności.

Oto zaś paradoksalny dokument: zdjęcie chaty na Polesiu, oświetlonej w roku 1934. łuczywem. Autentyczność i data zdjęcia poświadczone są przez miejscowego starostę.

Poleszuki prymitywniejszego nawet używają oświetlenia do dziś: suszą jakieś szczególnie tłuste ryby, przewlekają przez rybę knot i — palą. Muzeum poluje właśnie na ten eksponat.

O kilka zaś metrów od zdjęcia kurnej chaty poleskiej stoi model nowoczesnej elektrowni pomorskiej w Gródku.

Łuczywo, ryba z knotem i Gródek — w roku 1934-ym.

Oto zaś najmłodszy dział i benjaminek Muzeum: bezpieczeństwo i higjena pracy. Zagadnienia tu poruszone, są olbrzymiej wagi społecznej i gospodarczej. Straty, ponoszone przez naszą gospodarkę wskutek wypadków przy pracy, sięgają 250 miljonów złotych rocznie! Nie stać nas na taki luksus, karygodny zresztą ze społecznego punktu widzenia. Zaletą maszyny winna być nietylko wydajność, lecz również bezpieczeństwo robotnika.

Obok zagadnień wielkiego kalibru (bezpieczeństwo w wielkich fabrykach) — są tu poruszone i małokalibrowe. Naprzykład: choroby zawodowe: w plastycznych skrótach ukazują tablice ich przyczyny, skutki i zapobieganie. Przy froterowaniu grozi służącej — opuchlina kolanowa. Fryzjerowi zaś od ciągłej pozycji stojącej — platfus. Zapobiegawcze środki są zaś niezwykle proste: miękkie nakolanniki dla służącej i krzesło dla fryzjera.

* * *

Polskie Muzeum Przemysłu i Techniki jest młode. Istnieje od grudnia 1933 roku. Półtora roku zaledwie. Powstało ze śmiałego zamysłu grupy entuzjastów. Wśród grupy przoduje obecny dyrektor Muzeum — inż. Kazimierz Jackowski. Protektorem Muzeum jest Prezydent Mościcki.

Muzeum ma do spełnienia wielkie i doniosłe zadanie, jakiem jest pogłębienie kultury technicznej najszerszych sfer.

Obecnie Muzeum zajmuje powierzchnię 1500 m. kw. Dąży zaś do 15.000 m. kw. we własnym gmachu. Na budowę jego potrzeba 5 milj. zł. Poza światem gospodarczym i techniki musi tej sprawie przysłużyć się ofiarność najszerszego ogółu, dla którego muzeum powołane zostało do życia.

Nieodparcie narzuca się pewna wątpliwość. Czy Muzeum Przemysłu i Techniki jest... muzeum? Z nazwą tą zwykło się kojarzyć pojęcie o czemś szacownem, dostojnem, skostniałem i nietykalnem, gdzie ostrzegawczo wciąż wołają napisy: »nie wolno dotykać«.

Tu zaś wolno dotykać eksponatów. Można dokonywać eksperymentów i wprawiać maszyny w ruch.

Więc — skoro nie muzeum, to jak? Pałac Techniki? Rewja postępu technicznego?

A może Szkoła kultury technicznej? Lecz jeśli szkoła — to z jednem zastrzeżeniem: dla uczniów od lat 10 do 80-u!

*Marzenna Saryusz Stokowska.*

# Granice lotnictwa stratosferycznego.

Zagadnienia komunikacji na wielkich wysokościach.

Ostatnio prasa europejska donosiła o tem, że skonstruowany przez amerykańskie National Georgraphical Society wraz z Army Air Corps balon Explorer II wzniósł się, osiągając wysokość 22.612 metrów. Z tego więc wynika, że przewyższył on o 612 mtr. rekord zdobyty przez balon rosyjski »Stratostat«. Trzeba przytem dodać, że wzlot balonu rosyjskiego zakończył się katastrofą.

Balon amerykański, który, jak dotychczas osiągnął najwyższą ilość metrów na wysokość, jest również bezwątpienia największym aparatem tego rodzaju. Jego wysokość wraz z łódką wynosi 96,5 metra, sama zaś kula, wypełniona heljum, mierzy 81.5 m. wysokości i 58.6 m. szerokości. Pojemność jego wynosi 105.000 m. sześć. Ponadto należy dodać, że uczestnicy wyprawy na Explorer II zabrali ze sobą przeolbrzymi spadochron, którego średnica mierzyła 24.4 m., przewidywali bowiem, że być może będą zmuszeni opuścić łódź balonu. Tymczasem jednak wyprawa udała się najpomyślniej i był to już nietylko świetny eksperyment sportowy, ale także ewenement naukowy o wielkiej doniosłości. Ekwipunek balonu pozwolił na to, że obecni w gondoli uczeni mogli swobodnie obserwować wszelkie zmiany temperatury oraz ciśnienia atmosferycznego, gwałtowności wiatru i działania promieni kosmicznych, jak również otrzymać spektogramy wielkiej wartości.

To była wyprawa stratosferyczna, w której wzięli udział ludzie. Ponadto robiono próby wysyłania w stratosferę balonu bez przebywającej w nim obsługi i w ten sposób balon pozbawiony pasażerów mógł się wznieść na wysokości niedostępne dla człowieka. Takiego eksperymentu dokonał w Stutgarcie prof. Regener, a wyekspedjowany przez niego balon dosięgnął wysokości 34 tysięcy metrów.

Jednocześnie wobec tych wszystkich eksperymentów i usiłowań aktualne staje się zagadnienie, czy stratosfera stanowić będzie kiedykolwiek linję pasażerską. Otrzymane dotychczas rezultaty i próby dają wyniki, które nie przechylają jeszcze szali ani na tę, ani na tamtą stronę. Bezwzględnie, że na tak wielkich wysokościach ludzie czują się niedobrze. Lotnik włoski nazwiskiem Donati, wzniósł się coprawda 11 kwietnia 1934 r. na wysokość 14.433 na swoim samolocie, ale był to niesłychany wysiłek, zarówno moralny jak i fizyczny i pilot z ledwością po tym wyczynie powrócił do zdrowia. Są to wogóle eksperymenty wysoce niebezpieczne. Samolot francuski »Sarman 1001«, który miał się wznieść na dużą wysokość, spadł roztrzaskany i należy to przypisać bezwątpienia temu, że pilot poczuł się źle na nadmiernej wysokości. Z tej samej przyczyny zginął słynny pionier lotnictwa stratosferycznego, Willey Post, którego tragiczną śmierć wszyscy ciągle pamiętają i który, jak wiadomo, w swoim raidzie Los Angeles — Nowy York wzniósł się na wysokość 12.000 m., osiągając w ten sposób szybkość 640 km. na godzinę.

Ta szybkość osiągalna w rejonach stratosfery, jest niesłychanie ponętna i ona to właśnie jest magnesem, który prowokuje lotników do podejmowania tak trudnych i niebezpiecznych prób. Teoretycznie na wysokości 12.000 m. samolot może przebywać 1000 km. na godzinę. Ta fantastyczna wprost szybkość nie jest jednak wystarczającym argumentem dla utrzymania na stałe pasażerskich linij stratosferycznych. Najważniejszym w tym wypadku skrupułem jest zbyt niskie ciśnienie atmosferyczne i rozrzedzone powietrze, które mogą źle wpływać na samopoczucie pasażerów. W wypadkach zaś hermetycznego zamknięcia kabiny, grozi zawsze jeszcze jakaś niespodziewana katastrofa, gdyż nie zbadano dotychczas jeszcze wszystkich warunków lotów na tak dużych wysokościach. Wobec tego, jak w tej chwili, lotnictwo turystyczne stratosferyczne, nie przedstawia się zbyt ponętnie.

Niemniej jednak zwolennicy lotnictwa stratosferycznego, nie uważają się za zwy-

ciężonych temi argumentami i w dalszym ciągu twierdzą, że w najbliższej przyszłości powstanie pasażerska linja stratosferyczna między Ameryką i Europą, na której regularnie i często kursować będą olbrzymie samoloty stratosferyczne. Twierdzą oni przytem, że w tych warunkach między Starym i Nowym Lądem podróż będzie się liczyć już nie na godziny, lecz na minuty.

Mniej utopijne są przewidywania słynnego konstruktora amerykańskiego, bezwątpienia z pochodzenia Polaka, Sikorskiego, którego zdaniem loty Transatlantyckie będą się mogły odbywać w stratosferze przy szybkości 3.500—6.000 km. na godzinę, przyczem oczywiście przewidziane jest zaopatrzenie zarówno pilota, jak i pasażerów w aparaty tlenowe, co zresztą nie przedstawia większych trudności.

Są to narazie wszystko plany i projekty, które wobec dzisiejszego szybkiego postępu techniki, niewątpliwie ziszczą się bardzo szybko.

*M. S. S.*

## TREŚĆ Nru. 9 i 10:

Zb. C. I.: W osiemdziesiątą rocznicę urodzin Piusa XI. 193. Janina Unkiewicz: To było od dzieciństwa (wiersz) 195. Zofja Dłużewska-Kańska: W pierwszą rocznicę 195. »I«: On żyje (wiersz) 198. Z. Urbańska: Poezja legjonowa 198. Wiesław Pyrek: Jan Kasprowicz 200. M. S. Czermińska: Garść refleksyj u mogiły Jana Kasprowicza 201 M. S.: Brat Albert i jego dzieło 202. Wł. Podstawka »I«: Droga najszersza 205. M.S.S.: Za progiem szkoły 206. Marja Dąbrowa: Jaki zawód obiorę? 208. Wanda Pieniążkówna: Koncert (wiersz) 210. Jagienka z pod Lublina: Djabelska Skałka 211. M. S. S.: Zamiłowanie ogrodniczki 213. K. J.: Pokazowa hodowla roślin lekarskich 214. J. B.: Spółdzielczość 216. Jadwiga Bilwin: Wezwanie spółdzielcze (wiersz) 217. Jadwiga Bilwin: Władka 217. X.: Polskie Jedwabnictwo 220. Urywek z listu J. Z. 221. H. Jankowska: Ludzie wodnego szlaku 223. Jadwiga Bilwin: Poranek na wsi (wiersz) 225. Jadwiga Bilwin: Tu zostanę 225. Marzenna Saryusz Stokowska: Polski Pałac Techniki 227.



Zakwitły jabłonie.



**WARUNKI PRENUMERATY: ROCZNIE 6 ZŁ.**
Numer pojedynczy 0·60 zł.
Konto P. K. O.: „Dziś i Jutro", Nr. 404.930

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:
*Zofja Zakrzewska.*
**Adres Redakcji: Kraków, ul. Starowiślna 11.**

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.

**Cena Nr-u. 1·20 Zł.**